№ 8. Warszawa, dnia 23 (11) Lutego 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: W trzech punktach. — Z Francyi p. Parisisa. — Nieśmiertelne dusze. III. Regina dramat w trzech aktach przez W. Okońskiego. — *Życie społeczne*: Złudzenia demokratyczne. III. Drobna własność wśród ustroju pieniężno-towarowego p. K. R. Żywickiego.—Przytułki położnicze p. Z. P.— Listy petersburskie p. N. B. — Z Zachodu p. Cezarego Jelentę. — *Badania naukowe*: Kartki naukowo-artystyczne. — *Literatura i sztuka*: Z Niemiec p. Ladawę. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

W TRZECH PUNKTACH.

Jednocześnie w trzech oddalonych od siebie punktach wystąpiły objawy nadzwyczaj podobne: w Rzymie, Peszcie i Berlinie wybuchnęła coraz bardziej rosnąca niechęć przeciwko sternikom naw państwowych. Niechęć ta ma rozmaite powody, przebieg i natężenie, ale stanowi ona duszę wszystkich trzech buntów. O zamieszkach włoskich mówiliśmy w poprzednim numerze *Prawdy*; chociaż obecnie już przycichły, odzywa się w nich ciągle: „precz z Crispim!" Studenci i opozycyjni deputowani węgierscy, którzy początkowo tylko złorzeczyli ustawie wojskowej, teraz krzyczą we wszystkich swych procesyach i mowach: „precz z Tiszą!" Nakoniec junkrowie niemieccy, którzy nagle przeszli na stronę przeciwników kanclerza, nie wyprawiają burd i wrzasków, bo na to nie pozwala im ani wrodzona ociężałość, ani obawa przed policyą i wojskiem, ale dość głośno pomrukują: „precz z Bismarkiem!" Wszyscy ci panowie są uczestnikami jednej spółki politycznej, w której tylko Tisza nie jest członkiem firmowym, wszyscy dotąd byli bożyszczami swych narodów, czy więc w podjętej przeciw nim walce niema wspólnego łącznika?

Jakkolwiek w Peszcie studenci najgłośniej krzyczą i najenergiczniej wytwarzają zamęt, są oni tylko hałaśliwym chórem dramatu a raczej komedyi, o tyle różnym od chóru sceny greckiej, że właśnie oni nie znają sprężyn i celu akcyi. Świadomymi rzeczy działaczami są — i to stanowi humor całego widowiska — konserwatywni arystokraci węgierscy, którzy chcą obalić Tiszę, opartego na stronnictwie liberalnem i opanować jego stanowisko. Aponyiowie i im podobni przedstawiciele arystokracyi nie łączą się z młodzieżą przez pokrewieństwo zasad i dążeń, ale służy ona im za rodzaj dynamitu do wysadzenia w powietrze przeciwnika. Z drugiej jednakże strony rozległe promieniowanie niechęci w szerokich kołach społeczeństwa nie jest objawem bezprzyczynowym. Masa może nie uświadamia sobie dostatecznie, jaką ma pretensyę do obecnego rządu, ale instynktowo uczuwa wstręt do tego kierunku, który życiu Węgier nadały Niemcy, do militaryzmu, do tego Molocha, pożerającego wszystkie siły narodu. Już sam fakt, że wybuch nastąpił z powodu nowej ustawy wojskowej, świadczy o tem wyraźnie. Węgrzy lubią napełniać sobie usta przechwałkami o swej armii, pragną ją uniezależnić i unarodowić, od czasu do czasu dumnie pobrzękują pałaszem, ale i oni bezwiednie czują lub w chwilach namysłu jasno widzą, że tego dobrego za dużo, że ten stan trwa za długo, że w nim niepodobna zamknąć całego życia i wszystkich jego celów. Bądź co bądź zaś, Tisza jest politykiem wystrzyżonym według Bismarka.

Podobnego losu doznaje sam mistrz. Dopóki militaryzm był młodym, dopóki jaśniał blaskami niedawnych zwycięztw, dopóki zapowiadał wielkie nadzieje, a kosztował stosunkowo niewiele, zachwycano się nim. Ale kiedy już dobiega drugiego dziesiątka lat, kiedy corocznie zużywa po kilkanaście nowych milionów, kiedy nie olśniewa świeżymi tryumfami, kiedy stał się instytucyą stałą, kosztowną, zwracaną wyłącznie do duszenia swobód wewnętrznych i służącą interesom zestarzałego dyktatora, zaczął on przykrzyć się i nadmiernie ciążyć nawet swym dawnym wielbicielom. Demokraci, postępowcy, ultramontanie na pozór nie przebijali głuchych uszu swemi skargami na zdziczenie moralne, na zniżenie ideałów narodowych i cywilizacyjnych; ale ich głosy, pomimo niepowodzeń parlamentarnych, wsiąkały powoli zarówno w ogól, jak i w te żywioły, które służalczo ulegały panu. Dziś w Niemczech odezwało się szeroko przeświadczenie, że tak dłużej żyć niepodobna, że szlachetniejsze pragnienia ludzkie nie znajdują żadnych zadowoleń w olbrzymiem obozowisku, że ono właściwie jest wałem ochronnym dla władzy jednego człowieka, że to za wielka dla niego ofiara ze strony narodu. Nawet konserwatyści, którzy kiedyś z taką rozkoszą pływali w sosie Bismarkowskim, nie chcą się już w nim smażyć, czują brak oddechu i przypieczone boki. Pomimo całej wsteczności swych dążeń i ciasnoty pojęć, doznają oni potrzeby wyjścia z gęstego mroku, w którym słyszą tylko: o nowych dopłatach na wojsko, nowych batalionach, karabinach, a nadewszystko o nowych rzutach samowoli kanclerskiej. Ich wódz ma już krótką drogę do grobu, a gdy w nim się położy, nikt nie wdzieje i nie udźwignie zbroi olbrzyma. Wypchał on wprawdzie swego syna watą i podwyższył obcasami, ale naród tę watę i obcasy widzi i nie podziela złudzeń ojcowskich.

„Przyjacielem jest dla nas Plato, ale większą przyjaciółką... ojczyzna" — zdają się mówić konserwatyści i podnoszą głowy. Do jakiego stopnia osłabła wiara w Bismarka a wzrosła myśl o spadku władzy po nim, przekonywają narady jego lokajów, narodowo-liberałów, którzy w poufnych okólnikach zwracają sobie uwagę na „starość kanclerza" i potrzebę zajęcia się jej następstwami. Walka z Fryderykiem III za życia, zniesławianie go po śmierci, proces Geffckena — wszystko to ubodło konserwatystów. Jak daleco powien ich odłam, zgromadzony pod sztandarem *Kreuzzeitung*, postawił się opornie, dość powiedzieć, że nie zdołał ukorzyć ich nawet cesarz, który wyraził ostrą naganę redakcyi tego pisma. My króla będziemy dalej

czcić — odrzekła gazeta — ale przeciwko samowoli kanclerza występować nie przestaniemy.

Jak widzimy tedy w krajach spółki politycznej, w Austro-Węgrzech, Włoszech i Niemczech pobladły nagle gwiazdy jej uczestników, które dotąd świeciły prawie bez zaćmień, a przygasły z jednej przyczyny: cele sojuszu zbrojnego już nie magnetyzują narodów i budzą pragnienie czegoś nowego, prawdopodobnie tego, co zostało stłumionem, sponiewieranem i skrępowanem.

Z FRANCYI.

Paryż, 16 lutego.

Najnowsza komedya parlamentarna. — Upadek radykalnego gabinetu. — Ciekawe posiedzenie Izby. — Koncentracya republikańska rozbita. — Gra w parlament i reformy socyalne. — Manifestacya robotnicza 10—24 lutego. — „Chimeryczne" żądanie i chowanie się przed niem Floqueta. — Mowa Jaurès'a. — Czem są b. „nowe warstwy" Gambetty i nowe warstwy dzisiejsze.

Znowu jeden gabinet wywrócił kozła — rozegrała się parlamentarna komedya, nad którą długo zatrzymywać się nie myślę. Opowiem rzecz w kilku słowach.

Zwycięztwo Boulangera w Paryżu wywołało przestrach w rządzącem stronnictwie republikańskiem. Ochłonąwszy z przerażenia — generał bowiem wybrany został tylko posłem Paryża, a raczej jednym z posłów stolicy — zatrąbiono na tak zwaną „koncentracyę republikańską." Postanowiono jąć się energicznie reform, tymczasem zaś ukuć kilka praw i dekretów, któreby ograniczyły wolność prasy, słowa i wyznaczyły stosowne kary na spiskujących przeciwko Rzeczypospolitej. Zagrożeni jednocześnie oportuniści i radykalni, zawarli układ co do wspólnego i łącznego działania w tych sprawach.

Co do reform parlamentarnych, stanął układ między obu odłamami republikańskimi w Izbie, że gabinet Floqueta cieszyć się będzie i nadal zaufaniem zgromadzenia prawodawczego i przedstawi jednocześnie dwa projekty do praw: zmianę dotychczasowej organizacyi wyborczej, wprowadzając zamiast głosowania na całą listę, departamentami — głosowanie według okręgów, na jednego posła; prócz tego zaś postawi na porządku dziennym, wniesiony już przezeń do Izby, projekt rewizyi konstytucyi. Powrót do głosowania okręgami — krok wsteczny, zrobiony w obawie przed rosnącą propagandą bulanżystowską — był ustępstwem na rzecz oportunistów; rewizya — benefisem radykałów. Tak brzmiał układ.

Przystąpiono do rzeczy i po targach co do pierwszeństwa dwu tych wniosków uchwalono naprzód, na jednem posiedzeniu, zmianę ordynacyi wyborczej, a senat pospieszył przyjąć również tę uchwałę. Przyszła kolej na rewizyę — i tu oportuniści nie dotrzymali umowy, zdradzili, głosując wraz z prawicą za odroczeniem do czasu bliżej nie oznaczonego. Uchwała zapadła 307 głosami przeciwko 218. Gabinet, wystrychnięty na dudka przez oportunistów, podał się oczywiście do dymisyi, nastąpiło niezałatane dotąd przesilenie ministeryalne i osławiona koncentracya republikańska prysła jak bańka mydlana.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że chwilowe przymierze prawicy z lewym środkiem i oportunistami ma jakieś cechy trwałości. Bynajmniej! Gabinet musi być wybrany z pośród członków *mniejszości*, prawica zaś, która dąży do rozwiązania Izby obecnej, przyspieszonych wyborów i konstytuanty, jutro, wespół ze skrajną lewicą i bulanżystami (jest ich 16 w Izbie) obali nowy gabinet oportunistyczny, zagłosuje rozwiązanie Izby itd.

Jest to parlamentarna gra w szachy lub nawet w prosto warcaby, pełna niespodzianek i *matów* najmniej oczekiwanych. Ot i wynik czwartkowego posiedzenia spadł jak grom z jasnego nieba i pomieszał szyki. Operacya wywrotu ministeryum dokonała się nadzwyczaj szybko. Przygotowywano się do długiego posiedzenia, na którem sprawa rewizyi miała być rozebrana wszechstronnie, tymczasem rzeczy wzięły całkiem inny obrót. Na początku posiedzenia wstaje naprzód bar. Mackau, z prawicy, i żąda odroczenia rewizyi, proponując Izbie rozwiązanie się. Wniosek, poddany pod głosowanie, upada. Wszyscy republikanie głosują przeciwko niemu; „koncentracya" trzyma się krzepko. Wstaje następnie hr. de Douville-Maillefeu, zapalony republikanin, wymyśla prawicy i żąda także odroczenia rewizyi. Gada długo i szeroko, odstępując od przedmiotu, radzi jednak to zadanie pozostawić przyszłej Izbie, jeżeli jej ono się spodoba. Wniosek idzie pod głosowanie — i przechodzi, dzięki związkowi prawicy z oportunistami, jak zaznaczyłem powyżej... Zaniepokojenie na wszystkich obliczach, prezes gabinetu oświadcza, iż podaje się wraz z towarzyszami do dymisyi, Izba wyznacza sobie przyszłe posiedzenie na poniedziałek i rozchodzi się, gwarząc o tem, co zaszło. Cała ta zabawa nie trwała godziny.

Hr. de Douville-Maillefeu w nieobliczonem przez nikogo wystąpieniu i bezładnej gadaninie, lubo mówił w imię zdrowego rozsądku, wypowiedział jednak kilka myśli najzupełniej słusznych. Zwrócił naprzód na to uwagę, że jeżeli Izba nie może wyrobić sobie trwałej większości, to winien przedewszystkiem *peuple souverain*, który tak nieoględnie wybierał swoich przedstawicieli. Wypadało z tego, że i ów lud-władca, najwyższy i wszechświatowy pan fikcyi parlamentarnej, nie wie sam właściwie, czego chce, jeżeli już jednak iść za jego wskazówkami, to pokazuje się, iż przy wyborach 1885 r. i częściowych późniejszych 225 posłów przyrzekało zmniejszenie lat służby wojskowej, 250 oddzielenie kościoła od państwa, a tylko 90 rewizyę konstytucyi — czyli, że ta ostatnia sprawa nie jest najpilniejszą, gdy dwie poprzednie dotąd niezałatwione. Powiedział także mówca, że kiedy się tak uparcie dzwoni na zwołanie konstytuanty, to potrzeba mieć jakiś program dla niej, programu zaś takiego niema — i niema go istotnie. Rządowy projekt rewizyi był sobie zlepkiem, który nie opierał się na żadnym programie. „Lud" także nie wyrzekł dotąd swego zdania, czego chce od owej konstytuanty i pytanie, czyby wiedział, gdyby mu przyszło zgromadzenie to wybierać.

Liczy się na coś nowego, na nieprzewidziane. Radykalni chcieliby wznowić tradycyę konwentu, nie mając jednak większości w Izbie, ani poparcia w masach, łudzą się minionemi marzeniami; monarchiści chcą

---

8)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

III.

REGINA

dramat w trzech aktach

przez

W. Okońskiego.

SCENA IV.

Ciż i Wanika.

Regina.

Wanika! Ach, jakże zbiedzona, wynędzniała!.. Nieroztropne dziecko!.. Nie słuchałaś mnie... Po co było narażać się daremnie na trudy! Naturalnie o Gali nic nie wiesz...

Wanika (*słabym głosem*).

Oddział jego wybity do szczętu.

Regina.

Przez kogo?

Wanika.

Przez Tipu-Tipa.

Regina.

Kto ci mówił?

Wanika.

Widziałam zdala kości. Nie mogłam się zbliżyć, bo je dogryzają hyeny i szakale.

Regina.

Gdzie?

Wanika.

O pięć mil stąd. Wyszedłszy udałam się prosto ku lasowi, w stronę, w którą pan Gala pojechał. Po drodze ludzie opowiadali mi, że spotykali go pędzącego ku północy, a przedtem jakąś bandę, uciekającą z człowiekiem przywiązanym do dwu koni. Ale wreszcie straciłam wszelki ślad, nikt nie umiał dać mi wskazówki. Szłam jednak ciągle. Ażeby się zabezpieczyć od handlarzów i gwałcicieli, wzięłam z apteki pani kilka plastrów, naciągających bąble, i przykładałam sobie na piersiach i nogach. Ile razy więc wpadłam w niegodziwe ręce, pokazywałam rany i przekonywałam, że cierpię na bardzo zaraźliwą chorobę. Natychmiast mnie puszczano. Wreszcie przyczepiłam się do jakiegoś wędrownego czarodzieja, który szedł również na północ i obiecał mnie wyleczyć. On to wywiedział się o losie naszej drużyny i zaprowadził mnie na miejsce, gdzie poległa. Podobno Dżaka Tipu-Tip wypytywał o coś, włożywszy mu stopy w ognisko, a potem kazał powiesić. Kruki go prędko objadły.

Regina (*w pognębieniu*).

Nad nami już krążą...

Morton.

Gala także zabity?

Wanika.

Ludzie mówili, że mu Tipu-Tip własną ręką wypalił na plecach swoje nazwisko i odesłał go do domu, ażeby ten znak państwu pokazał. Myślałam, że tu jest.

Morton.

To źle, kiedy rozbójnik tak zuchwały.

Wanika.

Oj, źle panie. Ze wszystkich stron ciągną tu gromady murzynów, którzy grożą, że wszystkich białych wymiotą do morza.

Morton (*do Reginy*).

Czy pani słyszy? Na wątpliwości już czasu tracić nie można. Wracam do mojego statku, który was oczekiwać będzie. Pani Regino, bądź rozumną. Ci dzicy, którzy was zaleją, wiele ucierpieli od białych, więc będą mściwi dla wszystkich, nawet dla swych dobroczyńców.

Regina (*j. w.*).

Jeśli ojciec Makary się zgodzi... Do widzenia.

Morton.

Przecież nie ten złamany starzec twoim, tylko pani powinnaś być jego przewodniczką (*wychodzi*).

SCENA V.

Regina i Wanika.

Regina (*chodzi w zamyśleniu*).

Opuścić to miejsce, gdzie on niezapomniany zmartwychwstał w myślach i marzeniach moich, gdzie duch jego rozpłynął się

za pomocą owej konstytuanty restaurować swych pretendentów, Boulanger przeprowadzić swój patronat... są to wszystko jednak rzeczy mało zasadnicze i niepewne, jak gra w loteryę.

Rozpisałem się o tym wodewilu parlamentarnym dłużej, niż zamierzałem. Pragnę bowiem właściwie zwrócić uwagę mych czytelników w inną zupełnie stronę. Podczas gdy w Izbie odbywają się przedstawienia, podobne do opisanego powyżej, lud a raczej klasa robotnicza, niecierpliwi się i stawia swoje *ultimatum*. „Federacya narodowa syndykatów i grup korporacyjnych robotników francuskich,“ a właściwie jej „rada narodowa“ wystosowała okólnik do sprzymierzonych grup i syndykatów, polecając im wysłanie jednocześnie, w dniu 10 lutego, delegacyj do władz miejscowych z żądaniami wzięcia pod uwagę niektórych punktów programowych, uchwalonych na tegorocznych kongresach owego zrzeszenia, odbytych ubiegłej jesieni w Bordeaux i Troyes. Pełne uchwały tych kongresów streszczały się w punktach następujących: 1) sprowadzenie dnia pracy do 8 godzin; 2) oznaczenie minimum płacy zarobkowej, względnie do czasu i warunków miejscowych; 3) wzbronienie prywatnego pośrednictwa tak zwanych dostawców, przy oddawaniu robót rządowych lub municypalnych; 4) odpowiedzialność fabrykantów w razie wypadków; 5) wspieranie przez społeczeństwo dzieci, starców i inwalidów pracy; 6) zniesienie prywatnych biur pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy; 7) odwołanie zakazu dla międzynarodowego związku robotników; 8) przeprowadzenie międzynarodowego prawodawstwa fabrycznego.

Z żądań tych wybrano na razie cztery do najbliższego uwzględnienia: 1) 8 godzin pracy, 2) minimum zarobku, 3) zniesienie systemu dostaw i 4) zaopatrzenie dzieci, starców i inwalidów. Pierwsze trzy stosują się tylko do robót rządowych.

Z żądaniami temi delegacye udały się w dniu oznaczonym do przedstawicieli władzy: w Paryżu, Lyonie, Bordeaux, Marsylii...

Przygotowująca się ta manifestacya w Paryżu przepłoszyła nie na żarty polityków, zajętych swymi planami. Ponieważ punktem zbornym delegatów miała być Giełda pracy, przeto ją obsadzono wojskiem i nikogo do sali jej obrad nie wpuszczono; postawiono przytem na nogi całą policyę, nakazując jej rozpędzenie tłumnych zebrań na ulicy, gdyby się one powtórzyły; dzień był niedzielny, więc też i pochopność do rozpędzania tłumów, jak zawsze w republikańskim i radykalnym Paryżu — wielka. Delegaci w liczbie 60 zebrali się wreszcie jak mogli, ponieważ zaś nie pozwolono i temu „tłumowi“ postępować razem, poszli więc w rozsypkę i tropieni przez agentów policyjnych, którzy im na pięty nastepowali, naznaczyli sobie schadzkę w knajpach, sąsiadujących z ministerstwem spraw wewnętrznych, prezydenturą Izby i prefekturą Sekwany, gdzie właśnie udać się zamierzali. Kiedy nareszcie znaleźli się przed drzwiami ministerstwa, pozwolono doń wejść kilku delegatom, gdy ci zaś dotarli do samego przybytku kancelaryjnego okazało się, że p. minister (Floquet) schował się. To samo powtórzyło się i w innych władzach. Delegaci złożyli żądania swe na piśmie, oświadczając, że przyjdą po odpowiedź w dniu 24 lutego. Toż samo oświadczono i panom prefektom na prowincyi. Prefekci nie chowali się jednak i przemawiali do delegatów, usiłując im wybić z głowy te zachcianki.

Że jednak nie są to tylko zachcianki, dowodem uchwała paryskiej rady miejskiej, która zaprowadziła przy oddawaniu robót municypalnych ośmiogodzinny dzień pracy i tak zwane *séries des prix*, tj. scrye płac zarobkowych, układanych odpowiednio. Inna znowu instytucya, a mianowicie kongres Stanów zjednoczonych wprowadził osiem godzin pracy w warsztatach rządowych a handlu dostawami wzbroniła już rewolucya francuska 1848 r. Izba francuska zajmuje się także od lat już kilku prawami o uregulowaniu pracy dzieci i kobiet, o wypadkach, ubezpieczeniach itp., żadne z tych praw jednak dotąd nie zostało ostatecznie uchwalone. Spadają one zazwyczaj z wokandy przy wyczerpaniu kadencyi parlamentarnej lub zabagnione zostają w Senacie. W sąsiednich Niemczech, jak wiadomo, przeprowadzony został cały system ubezpieczeń dla robotników. I we Francyi zresztą powszechnie przyjętą jest zasada, przynajmniej, dla szkół elementarnych, bezpłatnego i bezwarunkowego nauczania itp. Wszystkie te reformy pozostają w blizkim związku z powyższemi zachciankami, o urzeczywistnienie których lud się niecierpliwi, podczas gdy panowie reprezentanci grają w parlamentarną ciuciubabkę.

Zdarza się jednak, że i w Izbie wypowiedzianą zostanie mowa, zawierająca jakąś treść istotną i nowe spostrzeżenia. Taką była mowa młodego posła republikańskiego, Jaurès'a, która zwróciła powszechną uwagę, lubo przebrzmiała, jak wiele innych, bez echa w ognisku obrad.

Dokładnie obznajmiony z życiem prowincyi francuskiej, wyjaśnił on, czem są owe „nowe warstwy“ (des couches nouvelles) o wystąpieniu których na widownię oznajmiał w swoim czasie Gambetta. Otóż jest to, jak się okazuje, luźna warstwa dorobkiewiczów republikańskich, warstwa obdarzona świeżym apetytem mieszczaństwa, która obrosła już dobrze w pierze za trzeciej Rzeczypospolitej, rządzi nią i w niej, zazdrośnie strzeże swych przywilejów i wpływów i dzielić się nimi z nikim dobrowolnie nie myśli. Z jej to szeregów rekrutują się politycy oportunistyczni i radykalni. Po za temi zaś, wypasionemi i zużytemi już warstwami tworzy się nowa, przeważnie robotnicza, której interesy stają w sprzeczności z warstwami Gambetty; nowe te żywioły, ostatniemi laty znacznie się wzmogły w liczbę i w siłę, zorganizowały się lub organizują, mają swoją tanią prasę, która wywiera wpływ niepośledni, odbywają zjazdy, łączą się w federacye i mocno niezadowolnione są z obecnych panów w Rzeczypospolitej. Panowie ci zresztą chowają głowę w piasek, jak strusie, przed nowemi temi zagadnieniami i nowymi ludźmi, stracili już jednak dawniejszą popularność.

Jaurès nawoływał rządzące klasy republikańskie do zajęcia się sprawami i interesami tych warstw najnowszych, do połączenia z niemi Rzeczypospolitej — był to jednak głos młodego, niedoświadczonego jeszcze posła i przebrzmi oczywiście bez odgłosu.

Wobec tego nie czuję się bynajmniej usposobionym do ronienia łez nad obaleniem „radykalnego“ Floqueta przez ex-radykalnych oportunistów i wstecznych konserwatystów... Wsteczni są właściwie politycy, wracający do systemu głosowania za-

---

w mniemaniu, gdzie serce już tylko płakało cichemi łzami żalu, uciec — dokąd, po co?

Wanika.

Pozwoliłabym sobie wyłupić jedno oko, aby drugiem go zobaczyć, zaklinować jedno ucho, aby drugiem go usłyszeć! Bodaj mnie ogarnęła najzjadliwsza zaraza a wiatr włóczył po wszystkich drogach, któremi chodzi Tipu-Tip.

Regina.

Mogę stracić życie? Jeśli ono ma być tylko ogromną boleścią wtłoczoną w drobinę czasu, z uśmiechem rzucę się w objęcia śmierci.

Wanika.

Skoro go wypuścił, to zabić nie chce.

Regina.

Tak, rojenia ludzkie — to lotna, łatwo rozprężająca się para, którą wyobraźnia rozpościera po szerokiej przestrzeni świata i obrzuca blaskami jego świateł, a którą rzeczywistość oziębia i sprowadza do kilku szarych, cierpkich kropel. O czem ja marzyłam, a co mi los przyznał!

Wanika.

Może gdzie leży chory... sam, jedynie pod opieką krzaka...

Regina.

Kiedy chciałam żyć samotna, wyklęto mnie; kiedy chciałam być sprawiedliwą wagą pracy ludzkiej — unieszczęśliwiono mnie; kiedy chciałam tu spędzać z umysłów noc barbarzyństwa, z serc dzikość pożądań a z życia nędzę i krzywdy— skazano mnie na zagładę. Czy ród ludzki jest rzeczywiście tak nikczemny, czy tylko jego nikczemność tak śmiała, a uczciwość bojaźliwa?.. (*Do Waniki*). I ty nie masz swojej wiosny, biedne dziecko! Nie myśl, bo każda myśl dziurawi duszę, przez którą potem szczęście przelata jak woda przez sito.

Wanika.

Czy też pan Gala żyje? (*Wchodzi Makary*).

SCENA VI.

Regina, Wanika i Makary.

Makary (*za sceną*).

Zaraz, zaraz, poczekaj (*wchodzi*). Jak się masz, drogie dziecko? (*Całuje Reginę*).

Regina.

Dobrze, mój ojcze.

Makary.

Spotkałem księdza Feliksa, któremu powiedziałem, że jeśli nie chciał wziąć od ciebie rozumu, to więcej nic nie dostanie nawet dla papieża.

Regina.

Cóż konsul niemiecki?

Makary.

Bardzo grzeczny, obiecał przypiłować kły Towarzystwu, prosił tylko, ażebyśmy nie buntowali krajowców przeciwko niemcom, a prosił tak usilnie, jak gdyby lękał się o swych rodaków. Ma zresztą powód być dla nas grzecznym a o swoich niespokojnym. Mówiono mi, że murzyni, oburzeni na zamknięcie brzegów strażą celną, odgrażają się niemcom napaścią i chcą ich wygnać.

Regina.

Podobno nietylko ich, ale wszystkich europejczyków.

Makary.

Czy to byłoby dziwnem? Wszyscy dmuchali w ten komin, myśląc, że tylko innych osypią sadze i sami się uczernili. Przekleli buntowi dziurki, a on sobie rozedrze czeluść. Znana historya!

Regina.

Ale ten wylew może i nas unieść, zwłaszcza że już nam porwał...

Makary.

Nie, my śród tych fal stać będziemy jak latarnia morska, bośmy tylko świecili i wskazywali drogę.

Regina.

Nasz Aureli również był dobroczyńcą robotników, a jednakże go spalili.

Makary.

Reginiu moja, przesunęłaś mi przed oczami ten święty cień ze straszną wróżbą. Zdaje mi się, że tu stoi, że patrzy na nas smutnie, że ku nam wyciąga ręce... Czyżby nadeszła chwila, w której mają się połączyć dusze nasze? Ha, nie zapłaczę (*milczy*). Nie, my jeszcze zostaniemy... Murzyni nas lubią, szanują a mnie jak dzieci strachu się boją i uważają za czarodzieja. Snują się w okolicy gromadki, ale nie zdradzają złych zamiarów.

ściankami w obawie przed szerszymi prądami, które na nich idą i które ich zdmuchną... nie wiem tylko, czy razem z Rzecząpospolitą...

Parisis.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZŁUDZENIA DEMOKRATYCZNE.

III. Drobna własność wśród ustroju pieniężno-towarowego.

Przytoczyliśmy fakty, okazujące, że włościaństwo we wszystkich krajach Europy, przynajmniej ważniejszych, znajduje się w mniej lub więcej opłakanem położeniu. Objawy tego stanu są bardzo różnorodne. Mamy tu rozmaite formy od lekkiego odłużenia aż do zupełnego popadnięcia w szpony lichwiarskie i od rozpadania się gruntów na cząsteczki, wykluczające wszelką racyonalną uprawę ziemi, aż do zanikania ich w obszarze dworskim. Obecnie idzie o zbadanie przyczyn takiego upadku, mianowicie, czy wszystkie te niezdrowotne oznaki są tylko chwilowem niedomaganiem, nieznajdującem się w głębszym przyczynowym związku z tegoczesnym ustrojem ekonomicznym, czy też przeciwnie są odeń nieodłączne. Niektórzy, wychodząc z faktu, że posiadłość włościańska zanika tu i owdzie w wielkiej, gotowi byli poszukiwać przyczyny tego w czynnikach, sprowadzających bankructwo rzemiosła; twierdzili mianowicie, że drobna uprawa jest mniej wydajną i że dzięki temu jej płody nie są w stanie wytrzymać współzawodnictwa na rynku z pochodzącymi z wielkich folwarków! Naturalnie, szermierze małej własności ziemskiej w rodzaju Laveleyeów, Cliffe-Leslieów i in. usiłowali wszelkim sposobem dowieść przeciwnego założenia—że wytwórczość małej własności jest większą. O zagadnienie to, bezwarunkowo najpierwszej doniosłości praktycznej, potrącimy szczegółowiej. Na teraz powiemy tylko, że do ostatniego dziesiątka lat istnienie jednego lub drugiego twierdzenia bynajmniej nie mogłoby pociągnąć za sobą dobrobytu lub ruiny włościaństwa. Jakoż, do chwili ukazania się zboża amerykańskiego, prawa, rządzące współzawodnictwem na rynku w dziedzinie przemysłu przerabiającego a rolnego, ukształtowane były najzupełniej odmiennie. Wśród pierwszego zaofiarowanie zawsze szło przed zapotrzebowaniem; zwykle widzimy tu dążność ku wytwarzaniu większej ilości produktu nad żądaną. Skutkiem tego i same ceny zawisły były przedewszystkiem od najkorzystniejszych społecznie warunków produkcyi, tj. wahały się w kierunku najniższej normy. Inaczej działo się na rynku zbożowym. Tu dopiero zwiększone zapotrzebowanie wywoływało stosowne rozszerzenie produkcyi. Wobec tego płody rolne wykazywały raczej dążność do znajdowania się w mniejszej, niż potrzeba było, ilości; tem samem cena ich zależała od najniekorzystniejszych warunków produkowania. A więc gdyby nawet drobna uprawa odznaczała się mniejszą wydajnością, nie wypływałoby stąd jednak, iżby na rynku winna uledz współzawodnictwu wielkiej. Tymczasem, mimo tak sprzyjającego włościańskiej posiadłości ukształtowania stosunków rynkowych, jej ruina w Europie zachodniej szła, lubo powolniej, swoją drogą. Warto wspomnieć też Attykę lub starożytny Rzym, gdzie położenie zboża na rynku nie było i nie mogło być innem, a jednakże chłopstwo zupełnie zaniknęło. Wypada przeto przypuścić, że istnieją jeszcze jakieś szczególne okoliczności, niekorzystne dla drobnej uprawy gruntów.

Dla należytego zrozumienia przyczyny, musimy rozpatrzeć się nieco w historycznej przeszłości. Osada włościańska powstała w następstwie rozkładu pierwotnej spółkowiny rolnej, lecz pozostała wierną starodawnym porządkom ekonomicznym. Podobnie jak i spółkowina, z której się wydzieliła, była ona samodzielnym a ekonomicznie niezależnym od reszty świata organizmem wytwórczo-spożywczym. Stała samotnie, o własnych siłach, jak wszelkie gospodarstwo naturalne. Spożywała, co sama wytworzyła. Jej dobrobyt tkwił najzupełniej w jej mocy, gdyż przedewszystkiem zależał od pracowitości członków. Rozpościerające się nad osadami włościańskiemi stosunki feodalne, w niczem nie nadwyrężały tego stanu rzeczy, lecz raczej mu sprzyjały, gdyż przedstawiały poniekąd swojego rodzaju przedmurze, zabezpieczające włościanina od bezpośrednich stosunków z większym ustrojem społeczno-politycznym, w skład którego ten ostatni wchodził. Chłop w całem znaczeniu słowa panował nad wytworem rąk swoich. Wiedział przybliżenie, ile zbierze plonów z pola przy normalnym urodzaju, ile z tego sam spożyje, ile zabierze na dziesięcinę kościół, a ile pan złupi. Powinności były bowiem oddawane w naturze i przytem według ścisłej określonej prawem zwyczajowem skali. Co z niemi dalej zrobi pan feodalny i jakim one ulegną losom, wyszedłszy z jego śpichlerza, pytanie to zgoła nie zaprzątało głowy włościańskiej, ani nie nadwerężało jego samodzielności gospodarczej. Wprawdzie mogły przyjść nieprzewidziane klęski: mógł pożar pochłonąć cały dobytek, mór — wybić bydło, grad — zniszczyć dojrzewające zasiewy na polu. Lecz w tych razach znajdował włościanin pomoc u dworu, gdyż dobrobyt poddanych leżał w interesie samego pana. Nadto stosunki podobne drobnej własności ochraniały ją od szponów lichwiarza, przytem i powodów zaciągania pożyczki nie było tyle, co obecnie. Słowem, średniowieczna hierarchia feodalna, jakkolwiek żyła z potu i pracy chłopskiej i opierała się na zabranej u chłopstwa ziemi, ze swej strony ochraniała ekonomiczną całość osady włościańskiej. Łupiła ją, lecz jednocześnie zapewniała bytowanie na jutro. Chłop nie potrzebował wychylać się po za swe naturalne gospodarstwo. Reszta społeczeństwa po za jego osadą z jego stanowiska ekonomicznego mogła nie istnieć. Wymiana była dlań rzeczą podrzędnej wagi. Na rynek też wynosił on jedynie nadmiar wytworu, pozostający po zaspokojeniu potrzeb rodziny. Pieniądze, lubo pożądane, nie były przecież nieodzownem smarowidłem istnienia.

Postać rzeczy ulega zmianie w miarę wzmagania centralizacyi państwowej, która znowu ze swej strony zjawia się w następstwie wzrostu wydajności pracy i zwiększenia ruchu towarowo-wymiennego. Państwo nowożytne wymaga stałych a znacznych dochodów. Feodalne więzy pryskają jako nieodpowiadające już wymaganiom czasu. Następują tak zwane uwłaszczenia. I oto włościanin, ze swem naturalnem gospodarstwem oraz nieodłączną od tego osta-

---

Regina.

Był u mnie przed chwilą Morton, który umyślnie przyjechał, ażeby nas ostrzedz i z sobą zabrać.

Makary.

Dobry to człowiek, ale prawdziwy funt sterling angielski: rzetelnej próby, tyle zawiera złota, ile wyraża, oddaje się jednak tylko w zamianie na równą wartość. Chce nas pozyskać, bo anglicy w Madagaskarze wpływ stracili. Zresztą, dobry aniele, jeżeli się obawiasz, jedźmy: twoja wola jest zegarem, moja — jej skazówką.

Regina.

O, nie, tego miejsca, a nadewszystko tych naszych ludzi porzucić niepodobna, dopóki nie będziemy istotnie zmuszeni. A jeżeli ci sami murzyni, przy których dobru stanęliśmy na czatach, jak ojciec z matką przy dzieciach, zdradzą nas, nie będziemy już chyba w rodzie człowieczem szukali celów dla życia i uciekali przed śmiercią. Pójdziemy bez oporu za siłą, która nas pcha tam, gdzie poszli nasi ukochani. Niech więc nas rozgniecie koło świata jak dwa drobne kamyki, które mu przeszkadzały gładko toczyć się po swej kolei. Prawda, ojcze?

Makary.

Dusza moja jak mogiła pozieleniała i zakwitła pragnieniami pod twojem tchnieniem i światłem. Chwilami zapominałem, że w niej noszę grób z dwojgiem dzieci. Ale gdy mi go teraz otworzyłaś, gotów jestem do nich odejść. Bo czemże ja jestem, gdy przestanę być apostołem? Starą łzawnicą, którą niech rozbije, kto chce. Jedynie ciebie byłoby mi żal zostawić i za sobą pociągnąć.

Regina.

Ojczulku, my albo istnieć będziemy razem, albo — nie. Tyle lat życia mojego, ile twojego. Oparliśmy się o siebie jak dwa padające drzewa: gdy jedno runie, drugie za nim runąć musi.

Makary.

Oj, nie, młodość nie może tak ściśle wiązać się ze starością. Ty jeszcze...

Regina.

Ja jeszcze, dłużej niż ty ojcze, mogłabym chodzić po tej ziemi, gapić się na jej widoki, oddychać jej powietrzem, zjadać jej płody, dążyć robaczymi ruchami jej mrowisk do hodowanych celów—wiem o tem. Ale to mnie nie zachwyca i nie nęci.

Makary.

Dlaczego my tak rozmawiamy, jak gdybyśmy stali przed toporem, który jedną lub dwie głowy odetnie? Przecie, Reginiu kochana, nikt jeszcze na śmierć naszą nie dzwoni. Co los o nas postanowił, niech sobie wykona, a my tymczasem załatwmy rachunki z dniem dzisiejszym, skoro on do nas należy. Jakiś biedak, który przywędrował zdaleka, chce czegoś ode mnie. Trzeba go wysłuchać... (*Idzie do drzwi i otwiera je*). No chodź, bracie. (*Wchodzi murzyn*).

SCENA VII.

Ciż i Murzyn.

Makary (*do murzyna, który klęka i uderza czołem o ziemię*).

Jesteś człowiekiem — wstań (*murzyn wstaje*). Czego żądasz?

Murzyn.

Ażebyś panie był tak miłosiernym, jak źródło pustynne, jak drzewo owocowe, jak krzak cienisty, jak lekarz dobry...

Makary.

Cóż ja mam ci zrobić?

Murzyn.

To, czego nie zrobi wielka góra, która nie nachyli swego szczytu, ażeby na niego weszło słabe jagnię, ani wielka droga, która nie skurczy się, ażeby znużonemu wędrowcowi oszczędzić trudu...

Makary.

Jeżeli potrzeba twoja jest pilną, to mowa powinna być prędką. O co ci chodzi?

Murzyn.

Choroba obżera dziecko moje, dziecko jedyne. Już mu ogryzła skórę, teraz odrywa ciało od kości...

Makary.

Przywieź je do naszej lecznicy.

Murzyn.

Daleko mieszkam, dłużej stąd iść muszę do domu, niż słońce przez dzień po niebie.

tniego ciasnotą w pojmowaniu spraw wymienno-ekonomicznych, staje sam jeden, bez żadnej pomocy, wobec urządzeń nieznanej natury. Państwo odeń wymaga różnych powinności, z pośród których tylko jednę pobiera w postaci naturalnej — rekruta, inne zaś ściąga w pieniądzach. Wzrastająca kultura wciska się do odludnej dotychczas wioski z różnemi drogami, pocztami, szkołami, dobroczynnością publiczną i znowu wola o pieniądze. Te ostatnie przestają być w chacie jedynie pożądanym gościem. Przeciwnie, stają się niezbędnym środkiem zaspakajania ciążących powinności. Sprzedaż produktów jest teraz koniecznością, jako źródło dochodu. Od jej udania się zależy spłata ciążących zobowiązań. Osada traci swą niezależność ekonomiczną, człowiek przestaje panować nad wytworem. Z chwilą kiedy wystawia go na rynek w postaci towaru, odtąd nie wie, co z nim się stanie. Być może, czasami owoc rąk wytwórcy zwróci się przeciwko niemu samemu. To ujarzmienie włościanina przez rynek zwiększa się w miarę rozwoju tak zwanego kapitalizmu. Każda nowa droga żelazna, szosa, parowiec, fabryczka pociąga za sobą otwarcie nowego rynku miejscowego dla produktów włościańskich i wciągnięcie osady z jej naturalnymi porządkami w wir coraz szerszej wymiany. Ta ostatnia działa niezwykle rozkładająco. Chłop na rynku znajduje wytwory, które mogą zaspokoić jego potrzeby lubo gorzej, lecz z mniejszym za to kosztem, np. tkaniny bawełniane. Mianowicie za dotychczas używane a wyrabiane w domu, lniane, może otrzymać więcej pieniędzy, aniżeli kosztują tamte. A zatem wytwarza on jedne, lecz nabywa drugie. Zapoznaje się nadto z nowemi potrzebami. Zamiast w domu robionych chodaków, zaczyna kupować buty. Naturalne podstawy ulegają powolnemu, lecz bezustannemu zwężeniu. Z czasem kupuje się ubranie, sprzęty, narzędzia, w pobliżu miasta nawet chleb. Dochodzi do tego, iż w niektórych okolicach drobna produkcya zupełnie się specyalizuje; tutaj należą chłopi szwajcarscy, uprawiający winnice lub sady owocowe, albo nabiał. Ale równolegle z takiem ścieśnianiem rozmiarów naturalnego gospodarstwa, włościanin staje się zależniejszym od rynku, gdzie panują obce a niezrozumiałe dlań potęgi społeczne. Powodzenie sprzedaży staje się, jakeśmy rzekli, pytaniem pierwszorzędnej wagi. Jeżeli spotka chłopa zawód w tej mierze, pozostaje on bez żadnych środków ocalenia, krom jednego — pożyczki.

Zobaczmy teraz, w jaki sposób zachowują się względem chłopa tak ważne dlań potęgi rynkowe. Wiadomo, że rynek nie pyta o potrzeby wytwórców — kupuje nie wtedy, kiedy oni tego pragną, i nie według spodziewanej ceny. Oto np. chłop w oczekiwaniu terminu podatkowego jedzie do pobliskiego miasteczka ze zbożem na sprzedaż, lecz i drugi i dziesiąty z jego sąsiadów czyni to samo. Na razie przeładowano rynek towarem. Wracają do domu, straciwszy nadaremnie czas i wysiłek. Lecz zobowiązania podatkowe i inne nie uwzględniają tego położenia. Pozostaje jedno wyjście — sprzedaż za niższą cenę. Przytem, wskutek nieznajomości warunków handlowo-ekonomicznych, chłop zdradza zupełną niezaradność wobec wahań handlowych. Przekupnie nie omieszkają wyzyskać tej jako też i wszelkiej innej niekorzystnej dla niego okoliczności. W każdej chwili mogą oni wstrzymać się z zakupnem, on zaś nie jest w stanie nic podobnego uczynić. Wolna na pozór umowa rynkowa jest w tym razie czynem wymuszonym — widmo egzekucyi, terminów procentowych, kupna potrzebnych przedmiotów, stanowi swego rodzaju bat, zawieszony nad „wolnym" niby sprzedawcą. Nie dość tego. Dotychczas rozpatrywaliśmy ciasny rynek miejscowy. Lecz z rozrostem i powikłaniem stosunków wymiennych ten ostatni przedstawia coraz bardziej zależną cząstkę rynków prowincyonalnych, państwowych, wreszcie międzynarodowego. Człowiek poczyna pokutować za winy niepopełnione. Na pograniczu pruskiem, u włościan odpowiednich powiatów, niemieccy handlarze dorocznie wykupują mnóstwo świń i gęsi. Żądania nabywców skierowały chłopa do większego zajęcia się hodowlą nierogacizny. Lecz po kilku latach, być może, dokonywanie kupna okaże się korzystniejszem w innych miejscowościach. Zbyteczna wspominać, że takie przeniesienie rynku, jakkolwiek dotyczy drobnej rzeczy, jest w stanie odbić się nader niekorzystnie na budżecie osady. Albo fakt inny, już rzeczywisty. Dzięki przedsiębiorczości yankesów na rynku wszechświatowym ukazuje się zboże amerykańskie. Już nie rozpatrujemy skutków tego, że jest ono tańsze. Zwrócimy uwagę na inną okoliczność, mianowicie, iż po kilku latach rynek został przepełniony. Nastaje zastój w handlu zbożem. Chłop jak dawniej przywozi zboże na rynek, lecz nadzieja sprzedaży okazała się płonną, gdyż zapotrzebowanie jest bardzo słabem. Może on pozbyć się swego wytworu — za bezcen. Otóż każde rozszerzenie stosunków wymiennych potęguje tego rodzaju niepewność zbycia towarów. Wszelka nowa linia kolejowa lub parowcowa, każda nowa szosa itd. zmienia warunki rynków miejscowych i wnosi odpowiednią rozterkę w życie ekonomiczne chłopa. Jego drobna osada, wyrosła wśród porządków gospodarstwa naturalnego, opiera się na zbyt wązkich podwalinach ekonomicznych, aby mogła stawić czoło bezustannym wahaniom i niepewności, jakie spotyka się na rynku. Jest ona małem czółenkiem na łasce rozhulanej fali wymiennej. Jej dobrobyt tkwi w pewności wymiany. Postać rzeczy się nie zmienia od tego, że jest to wymiana groszowa. Tymczasem niestałość jest prawem na rynku. Nadzieje chłopa na pieniądz doznają zawodu. Że jest to zawód, mierzony znowu na grosze, to nie poprawia położenia. I sama ta zależność zwiększa się w miarę rozkładu naturalnych porządków. We wszystkich powyższych wypadkach widnieje jeden ratunek — pożyczka. Lecz ona tylko potęguje przyczynę złego, wzmaga bowiem znaczenie pieniędzy w chacie wieśniaczej i sprowadza jeszcze większą zawisłość od rynku. Pogoń za pieniędzmi— nie! powiedzmy raczej za groszami wzrasta. Są one nitką, na której wisi bytowanie włościanina. Odpowiednio i życie samo zamienia się w podobną pogoń za trojakami i szóstakami. Oblicze psychiczne chłopa się zmienia. Otwartość i serdeczność, powaga i gościnność, te staroczesne spuścizny po czasach spółkowiny, które w Tyrolu lub górnej Bawaryi przetrwały po przez okres feodalny, zanikają, odkąd osada włościańska porwaną została wirem gospodarstwa pieniężno-towarowego. Ideały wszystkie sprowadziły się do sknerstwa i w dalszym ciągu zakupna kawałka gruntu. „Ten brak wszelkiej wygody nie zawsze wynika z nędzy. Ludzie stracili wszelkie względy na

---

Makary.

Więc cóż ci poradzić mogę?

Murzyn.

Bóg tyle wam dał ze swojej władzy, że możecie dokonać cudu i uratować dziecko moje.

Makary.

A to w jaki sposób?

Murzyn.

Zjedz panie jeden z tych daktylów (*pokazuje dwa daktyle na gałązce*).

Makary.

Po co? Skądże ci taka dziwna myśl przyszła?

Murzyn.

U nas zdawien dawna przechowuje się wiara, że człowieka umierającego uzdrowi tylko święty, którego Bóg sobie upodobał i który zje jeden z dwu zrośniętych daktylów a drugi odda na lekartwo choremu.

Makary.

Jest to, mój bracie, bezrozumny przesąd, w którym ja cię utwierdzać nie mogę.

Murzyn.

Nie bajka to panie, sam widziałem cud taki.

Makary.

Nie cud ale przypadek.

Murzyn (*błagalnie*).

Niech i mnie on się zdarzy.

Makary.

Zwróć się do czarodzieja, który go sprowadził.

Murzyn.

Już nie żyje, a gdyby nawet żył, Bóg by mu odebrał tę moc, bo tobie panie dał większą. Teraz tyś jego wybraniec, przez ciebie on objawia się i działa.

Makary.

Jestem człowiek podobny tobie, żadnej nadprzyrodzonej siły nie posiadam.

Murzyn.

Tak mówisz panie, bo mi skąpisz litości, bom na nią w oczach twoich nie zasłużył, bom proch, który się przylepił do twojej podeszwy. Ha, niech się spełni wola twoja: już do domu nie wrócę, na dziecko nie spojrzę; przecież jakieś drzewo zmiluje się nade mną i da mi gałąź, na której zawisnę i uduszę boleść.

Makary.

Ustępuję twojej rozpaczy, nie zabobonowi; daktyl zjem, ale upewniam cię, że to dziecku wcale nie pomoże. Który?

Murzyn (*podając daktyle drżącą ręką*).

Którykolwiek.

Makary (*odłamuje daktyl i zjada*).

A opowiedz ludziom, że cię uprzedziłem o niedorzeczności tej wiary.

Murzyn (*padając mu do nóg*).

Dziękuję ci, panie dobry.

Regina.

Jacyż oni są nieszczęśliwi w swej ciemnocie!

Wanika (*do murzyna*).

Wy skąd?

Murzyn (*zmieszany*).

Z Nepalu.

Wanika.

A gdzie Tipu-Tip?

Murzyn.

Niech przyrośnie do ziemi, niech mu przez ślepie węże do czaszki wleżą i gniazdo sobie w niej uścielą. Wam on nawet paznokci nie przyłamie, bo czarodziejskiej potęgi ojca Makarego się boi, ale nas kosi, jak trawę... Wdzięczny niewolnik stopy wasze całuje. (*Wychodzi*).

Wanika.

On nie z Nepalu, bo ma zęby spiłowane podobnie do mojego plemienia. A u nas o wierzeniu w daktyle nie słyszałam. Czy nie szpieg? Muszę go jeszcze wybadać? (*Oddala się*).

(D. n.).

przyzwoitość, głowa ich jest zaprzątnięta jedynie przez troskę oszczędzenia drzewa na opał... Niepodobna było znaleźć gdziekolwiek jakiejś gazety, obrazu, kawałka porcelany, ozdobnego sprzętu, porządnych mebli i nawet zegaru ściennego, tego przedmiotu dumy angielskiego fermera. Trudno pojąć życie, pozbawione w takim stopniu wszelkiego powabu, bez jakiejkolwiek przyjemności. Każdy groszowy wydatek na najniezbędniejsze potrzeby wywołuje szemranie. W następstwie tego oszczędzania i odmawiania sobie życie staje się pełnem sknerstwa, nędznem, odrażającem, bez żadnych ideałów krom nazbierania możliwie najwięcej sousów w pończoszę." Tak to wygląda we Francyi owa sielanka, którą klub Cobdeński zaleca jako rozwiązanie wszelkich niedomagań społecznych a którą ex-minister Schäffle gotów uwiecznić na zawsze w celu — utrzymania w społeczeństwie „chłopskiej indywidualistycznej mózgownicy" oraz „chłopskiego syna w mundurze żołnierskim," tych jego zdaniem najlepszych szańców tegoczesności. I to nietylko w ojczyźnie plebiscytu rzeczy idą taką koleją. „Świnia karmi się odpadkami u konia, chłop zaś — u świni," mówią o chłopie norwegskim, ciułającym fenigi na kupno nowego kawałka ziemi lub na spłatę zaciągniętej pożyczki. Do powyższego dodajmy nawyknienia wieśniacze, np. już wspominaną namiętność nabywania każdego sąsiedniego zagona chociażby po cenie nad wyraz wygórowanej i za pożyczone fundusze lub zwyczaj dzielenia ziem pomiędzy dzieci. Wszystko to są przyczyny, wzmagające zapotrzebowanie pieniędzy w chacie, a z niem — zależność od rynku. Zresztą mówimy o tych ostatnich pobudkach nawiasowo, bez jakiegoś szczególnego nacisku.

Jak więc widzimy, upadek włościaństwa jest nieodzownie i głęboko przyczynowo związany z rozwojem gospodarstwa pieniężno-towarowego. Właściwe mu warunki bytu są nie do pogodzenia z wahaniami i niepewnością ruchu wymiennego. W tym wypadku nie potrzeba współzawodniczenia ze strony wydajniejszych obszarów dworskich dla ruiny posiadłości drobnej. Słowem, przekupień i lichwiarz są na takiem podścielisku niezbędnemi postaciami społecznemi, podobnie jak nerwy w każdym zróżniczkowanym organizmie. Przybierana przez nich czasami odmienna powłoka rasowa stanowi rzecz drugorzędnej wagi. Tak np. nie dlatego chłop u nas dostaje się w szpony lichwiarza, iż jakiemuś żydowi spodobało się osiąć w wiosce, lecz przeciwnie dlatego ukazuje się lichwiarz lub przekupień, ponieważ przebieg wymiany, przy właściwościach drobnej uprawy rolnej i istnieniu podrygów rynkowych, nieodzowną czyni jego pomoc. W starożytnej Attyce lub wielkoruskiej obszczynie nie widzimy żywiołów „semickich," a jednakże w przededniu rewolucyi Solonowej chłop attycki oddawał $^5/_6$ plonu lichwiarzom-ateńczykom. Nawoływania do chrześciańskiej krucyaty przeciwko żydowi mogłyby odnieść w tej mierze jeden tylko skutek — ukazanie się lichwiarzy z pośród „rdzennie" miejscowego żywiołu na wsi, jak to wykazuje p. M. C. w przytoczonej już korespondencyi. Ci ludzie tak są nieodłącznymi od drobnej wymiany, jak wilki giełdowe — od wielkiej. I „rasowe" właściwości chłopa niewiele są w stanie wskórać. Wśród włościaństwa niepodobna przedstawić sobie energiczniejszej postaci nad fermera amerykańskiego. Codziennie czytana gazeta uwiadamia go o stosunkach rynkowych. Jego przedsiębiorczość pozwala mu zastosowywać się do wymagań nieznanych kundmanów. „Drobni fermerzy dalekiego Zachodu nie posiadają żadnych cech, właściwych europejskiemu chłopu, krom chciwości zysku. Ludzie ci pozostawili za sobą dawne nawyknienia, przesądy i rutynę... Nie dręczy ich tęsknota za ojczyzną, tak upoetyzowana przez Micheleta, Proudhona i innych demokratów Europy. W stepach dalekiego Zachodu pryska wszelka sentymentalna fantasmagorya... Fermer nie chce żyć na wzór mięczaka, przykutego przez całe życie do jednego kawałka. Nie po to stał się rolnikiem, aby miał hodować w swem łonie przywiązanie do ziemi, lecz w celu zrobienia majątku." I oto ten „koczownik-rolnik" jest na łasce — przekupniów z Chicago, Buffalo, zorganizowanych w istne szajki i nakładających dowolne ceny. Nasi przekupnie i lichwiarze w porównaniu z amerykańskimi są to drobne muszki, lecz wszakże i przysłowie powiada, że według stawu grobla. Słowem, rozpatrywana postać przedstawia społeczną nieodzowność. W następstwie tego, zwłaszcza wśród krajów niżej posuniętych ekonomicznie, mamy do czynienia ze szczególnem zjawiskiem. W Austryi, krajach Naddunajskich taki lichwiarz lub przekupień skupia w swem ręku mnóstwo osad włościańskich. Jednakże nie łączy ich w folwark, ale wydzierżawia dawnym posiadaczom. Naturalnie na wsi wszystko pozostaje po dawnemu, jedynie wyzysk lichwiarski wzrósł. Nawet „bogactwo narodowe" nie zyskało ani źdźbła więcej wytworu. W ten sposób, pod wpływem praw rynkowych oraz niezaradności, związanej nie z rasową naturą drobnego uprawiacza roli, lecz z samą istotą małej posiadłości ziemskiej, stan włościański chyli się do upadku. Obdłużenie, mniej lub więcej wysokie procenty, częsta zmiana tytułu posiadacza — oto objawy, wywoływane przez taki porządek rzeczy. W dalszym ciągu, w więcej przemysłowych okolicach ukazuje się ześrodkowanie drobnych osad w jednem ręku, wraz z centralizacyą produkcyi; w innych podąża tylko ześrodkowanie tytułów własności. I to zdarza się nawet, jeżeli drobna posiadłość jest wydajniejszą! Z tego punktu należy rozpatrywać i parcelacyę. Jeżeli przestrzeń gruntów włościańskich wzrosłaby nawet na 10%, lecz jednocześnie obdłużenie na 15%, wtedy w gruncie rzeczy chłopstwo upadałoby.

K. R. Żywicki.

PRZYTUŁKI POŁOŻNICZE.

Ciekawe i godne rozpowszechnienia szczegóły statystyczne o warszawskich zakładach położniczych podaje prof. dr. Walter w *Warszawskim Dzienniku*. We wszystkich takich instytucyach, tj. w klinice, w oddziale położniczym przy szpitalu żydowskim, w sześciu t. z. miejskich pokojach i w jednym prywatnym przyjęto w roku 1887 1,570 brzemiennych, zostało z roku poprzedniego 47. Rozwiązań nastąpiło w tym czasie 1,534, zostało zaś na 1888 r. 65. Napływ brzemiennych stale się zwiększa, szczególnie przybywają do „pokojów" kobiety ubogie, tak dalece, iż w znacznej części zaspokoić żądań niepodobna. Prof. Walter utrzymuje, iż w jego oczach kobiety rodziły w dzień na schodach zakładów. Do sześciu wyżej wymienionych pokojów przyjęto 923 brzemiennych, odmówiono zaś miejsca 842 kobietom, tj. przeszło 90%. W roku przeszłym było odmów tylko 67% (580 kobietom). We wszystkich ogółem zakładach odmówiono wskutek braku miejsca 1,076 kobietom. Liczba odmów w klinice stanowi tylko 3% przyjętych, zaś w oddziale przy szpitalu żydowskim wcale odmów nie było. Za to pokój prywatny nr. 7 na 137 przyjęć odmówił 221 tj. 158%. Pokój ten jednak trzyma położnice sześć tygodni po rozwiązaniu, (miejskie około 9 dni każdą) i oddaje dzieci postronnym kobietom przy swej pomocy pieniężnej. Takiej opieki nad niemowlętami pokoje miejskie nie okazują. Pomimo jednak dość skąpej działalności dobroczynnej, pokój nr. 1 (Karmelicka) odmówił 147%, nr. 2 (Prosta) — 117%, nr. 3 (Nowowielka) — 87%, nr. 4 (Żydowski) — 68%, nr. 5 (na Pradze) — 41%, nr. 6 (nowy, na Dobrej) nie uczynił żadnej odmowy. Według społecznego położenia, kobiety w miejskich pokojach położniczych dzielą się na dwie główne klasy: zamężnych i niezamężnych. Pierwszych było 361, drugich — 536. Do niezamężnych należą przeważnie służące, które dr. Walter często zapytywał, jak dawno są w stosunku z ojcem noworodka i w większości wypadków otrzymywał odpowiedź, iż nie mniej jak lat trzy. Tym sposobem według utartego pojęcia o moralności, urządzenie instytucyj dla takich kobiet jest zadaniem wzniosłem, gdyż nie tyle są one przytułkiem dla „wędrownej rozpusty," ile dla następstw trwałszych związków, chociaż nieprawych. Klasa zamężnych składa się z 83 żon sług (mężowie ich nie mają własnego mieszkania); żon rzemieślników — 150. „Gdzie nam rodzić, kiedy my wszystkie mieszkamy w swoim warsztacie —odpowiadają rodzicielki." Żon wyrobników (często *zupełnie bezdomnych*) — 113; żon żołnierskich — 26, żon dorożkarzy — 15, urzędników — 5, szlachty — 2, kupców — 7. Do drugiej kategoryi (536 dziewczyn) należało 406 sług niemających swego mieszkania i pozbawionych służby wskutek odmiennego stanu. Resztę 130 stanowią: szwaczki 39, cyfra dość mała w stosunku do nadmiernej liczby pracownic tego rodzaju i lichego ich zarobku, zmuszającego do szukania dochodu na innem polu. Dalej: handlarek 22, dziewczyn wykształconych 13 (tak samo było w r. 1886) i niewiadomego zajęcia (prostytutek?) 50. Wogóle szukało w tych zakładach przytułku ubóstwo i nędza największa. Z liczby 911 kobiet, które porodziły w pokojach położniczych, wskutek chorób po porodzie przewieziono do szpitalów — 2; jedna z nich umarła. Procent więc śmiertelności stanowi tylko 0.07 (w roku przeszłym zmarło 0.34%). Prof. Walter niedowierza tak pomyślnym rezultatom i przypuszcza, że musiały się zdarzać wypadki śmierci po za obrębem zakładów, w wczesnem ich opuszczeniu. W innych zakładach położniczych zmarło 20 kobiet; ogólny zaś procent śmiertelności we wszystkich był 1.36, co także nie wiele, jeśli wziąć pod uwagę mnóstwo wypadków nieprawidłowych porodów. Do tej ostatniej kategoryi w sześciu miejskich pokojach położniczych należało 105 kobiet, tj. 11.50%. W klinice zaś wykazano nieprawidłowych porodów 310 (z liczby 403 rozwiązań), tj. 78.4%, w oddziale żydowskim — 39%. Ogółem zaś kobiet potrzebujących lekarskiej lub chirurgicznej pomocy było 30.3%. Gdyby takie nieszczęśliwe rodzicielki były w rękach niezdarnych akuszerek wiejskich, śmiertelność byłaby znaczna nietylko kobiet lecz i dzieci. Jak wielka liczba ofiar ginie z tego powodu na prowincyi w Królestwie, dowodzą cyfry z 1886 roku; było porodów 268,849, z tych $^1/_3$ śmiertelnych. Wziąwszy pod uwagę stały brak dobrej pomocy akuszeryjnej, można przypuszczać, iż taki stosunek istnieje co roku, tj. że ginie przeszło *osiemdziesiąt sześć tysięcy* ludzi, czyli w ciągu dziesięciolecia — około *miliona!* Czy można jednak marzyć o prędkiem zapobieżeniu złemu, skoro dziś brakuje na Królestwo Polskie około *trzech tysięcy* akuszerek, nie mówię już wykształconych, lecz posiadających elementarne, praktyczne przygotowanie. Co rok trzeba nowych akuszerek 150, tymczasem szkoła warszawska obecnie może ich przygotować tylko trzydzieści kilka. Dr. Walter, widząc taki brak, pierwszy dał inicyatywę przyjmowania uczenic do pokojów położniczych, ale nie więcej, jak po jednej do każdego. Uczenica taka powinna pozostawać na praktyce ciągłej przy teoretycznem kształceniu się najmniej rok. Ale cóż to znaczy, skoro po-

wyższe instytucye mogą ich tylko sześć przygotować? Jedyną byłoby radą założenie w Warszawie szkoły dla akuszerek, odpowiadającej wszelkim wymaganiom nauki, na wzór takich zakładów w Wiedniu, Petersburgu i Moskwie.

Z. P.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 8 lutego.

...I oto urodził się nowy tygodnik pod nazwą *Słowianskija Izwiestija*. Pisałem kiedyś o kierunkach słowianofilskim i rusofilskim, owoż w pierwszych numerach owego organu oba prądy zlały się w jedno łożysko. Który nurt stanie się żywotniejszym— czas okaże. P. Filipow w swym naczelnym artykule ostrzega, że trudno oczekiwać w prędkim czasie zupełnego zjednoczenia się wszystkich słowian, dziś ważnem jest to, że już wystąpiły oznaki trzeźwości. Dalej zaś twierdzi: „Gmach ogólno-słowiański może być wzniesiony nie prędzej, aż wszystkie szczepy utworzą określone indywidualności cywilizacyjne.“ Słowem zaczęło się wszystko jak najpiękniej. Juści w innych artykułach sterczą potrosze domowe waśnie, lecz inaczej i być nie może.

Wspaniale i rozgłośnie odbył się chrzest nowonarodzonego. Wielka liczba synów słowiańskich przyjęła udział w uroczystości. Bezwątpienia, żaden z nich nie był przedstawicielem całego szczepu, lecz każdy miał za sobą pewną liczbę zwolenników. P. Piltz np. jako redaktor *Kraju* był przedstawicielem (?) co najmniej 20—30 tysięcy czytelników tego organu.

Rokowano nowonarodzonemu, że się stanie Mesyaszem — że ziści tysiące marzeń pełnych korzyści. Nim się to wszystko uskuteczni, pożądanem jest by tygodnik był rzeczywiście słowiańskim, aby opiekunowie niemowlęcia nie zaszczepiali mu każdy odrębnych zasad.

„Człowiek śmiechu“ W. Hugo chowany był przez przedsiębiorcę w szklanej masce póty, aż się wykoszlawiła twarz — prośmy p. Komarowa, redaktora *Słowiańskich Izwiestij*, aby się strzegł podobnej praktyki.

Nazajutrz po uroczystości *Nowoje Wremia* głosiło: p. Piltz wypowiedział myśl, że w ciężkiej chwili politycznego życia polacy zapomną o nieporozumieniach i przyłączą się do Rosyi. P. Kojałowicz po przeczytaniu owych słów rzekł w swej *Prawdzie* (petersburskiej): „Głos p. Piltza był strasznym rozdźwiękiem, który zepsuł cały chór... Polacy zapomną nieporozumień!..To znaczy, że w ich umysłach one istnieją... Po co potrzebny był ten beztakt? Przecie to upoważniało do myślenia, że i ruscy polacy i sam p. Piltz chowają urazę i tylko kiedyś o niej zapomną. Szkoda, że nie było kogoś w zgromadzeniu, coby wyjaśnił treść *pańskiej* mowy; wyjaśnienie potrzebne było nie dla samych tylko polaków“ itd.

Tymczasem podług *Słowiańskich Izwiestij* mowa p. Piltza w streszczeniu brzmi tak: Dziś, jutro dwa olbrzymy: świat słowiański i świat germański zetrą się; interes wymaga, by w oczekiwaniu tej chwili, słowianie łączyli się dla wspólnych działań. Wierzcie panowie, że wśród społeczeństwa polskiego rozumieją tę prawdę, albowiem najwcześniej i najbardziej ucierpieliśmy od niemieckiego *Drang nach Osten*. Wznoszę toast za usunięcie niechęci i nieporozumień rozdzielających obecnie świat słowiański.

Co się tyczy mów słowian z różnych zakątków Europy — smutnie one dźwięczą... prawie każda z nich starszego brata o coś prosi, błaga i nic nie daje. W najbardziej bratnim duchu przemówił słowianofil p. Wasiljew. Muszę przytoczyć urywek: „Słowiaństwo przedstawia się nam jako jeden całkowity, plemienny organizm; piękny, jak wszystko żyjące różnorodnością swych części składowych. Otóż nie mamy i mieć nie możemy chęci pozbawienia którejś cząstki organizmu jej odrębności narodowych, owszem, wszystkie powinny być zachowane, albowiem nie w stadnej jednobarwności, nie w podporządkowaniu pod jedną miarkę i jednakowy wzór widzimy doskonalenie się i piękno, lecz w połączeniu różnorodnych części w harmonijną całość, osnutą na swobodnym jednobrzmiącym chórze braterstwa i miłości.“

Złote słowa! Z nich mamy prawo wywnioskować, że *Słowianskija Izwiestija* pospieszą z jednaką pomocą ku wszystkim szczepom, że nie będą oddzielały kozłów od baranków... owszem sprowadzą na wszystkie bratnie niwy ożywczą rosę...

P. Strachow *słowianofil* zacięcie spiera się z *zachodnikiem* p. Sołowjewym; ten ostatni wymaga, by narodowość nie stawała się nacyonalizmem. Narodowość—powiada— odnośnie do jednostki jest *osobowością*, zaś nacyonalizm równa się egoizmowi.

Odstąpmy na chwilę od treści.

P. Sołowjew szuka *prawdziwej* religii i marzy o połączeniu kościołów, przynajmniej tak blizkich, jak wschodni i zachodni — katolickie.

Tymczasem jeden z pisarzy słowianofilów p. Danilewskij, w swej pracy „Rosya i Europa“ dowiódł czarno na białem, że zgniły *Zachód* nie wiele wart, że się kłoni do umysłowego upadku; świat zaś rusko-słowiański, ma tyle młodzieńczej umysłowej potęgi, że łatwo potrafi wytworzyć własną odrębną kulturę. Radzi tedy odrzucić wszystkie obce i *wrócić do domu*. Szczepy słowiańskie mają prawo uczestniczyć w tej nowej kulturze, z wyłączeniem polaków; ci albowiem zarażeni są łacińskim trądem zachodnim — i muszą zginąć.

P. Strachow także trochę zaczepiony w owej polemice dał filozofowi odprawę... i przy sposobności — dla większego wrażenia — dowodził, że Sołowjew względem religij radzi przymus; otóż w ostatnim numerze *Wiestnika Jewropy* p. Sołowjew pisze:

„Czym radził kiedy przymusowe zjednoczenie kościołów? Czym radził coś innego krom swobodnej i świadomej — po rozpatrzeniu spornych punktów — łączności obu stron? Czym wskazywał inny praktyczny środek dążenia do wskazanego celu, oprócz zupełnej religijnej i naukowej swobody? Czym twierdził, że „duchowe królestwo“ Rzymu jest zupełnym ideałem jedności wszechświata?.. Niech p. Strachow rozważy, że umyślnie fałszywe zaliczenie mnie do stronnictwa zjednoczenia przymusowego, tembardziej nieprzyzwoite, iż najbliższe i radykalne przykłady takiego zjednoczenia znajdują się, co mu jest wiadomem, zupełnie nie tam, gdzie on je wskazuje.“

Ciekawa też rzecz jak p. Komarow zapatruje się na tę polemikę!..

Wystawa lekarsko-hygieniczna w „Solanom horodkie“ smutnie się przedstawia. Imć panna Hygeja zaledwo jednem oczkiem tu zerknęła. Hypokrates staranniej się rozejrzał, to też w jego zakresie widzimy: elektryczno - statyczną maszynę doktora Charcot; chirurgiczne instrumenty, lekarstwa, wytwory p. Kocha tj. baccylle całego świata; zarodki wścieklizny od Pasteura; kilkanaście nienormalnych czaszek, tyleż woskowych rąk, nóg i głów upiększonych trądem, syfilisem, itp.; gorsety wojłokowe dr. Andersena dla garbatych; kumys... itd. Rzeczy dotyczących hygieny zbyt mało: parę ław szkolnych, parę wanien — zresztą jedna z nich elektryczna — więc lecznicza; parowa szafa dla dezynfekcyi szpitalnej bielizny... i dosyć.

Nie wiem dlaczego, lecz mniemałem, że ujrzę wzór najzdrowszej, a więc najwygodniejszej odzieży, damskich bucików — nie chińskich; że wskażą mi, jak gorsety niszczą zdrowie, jak malowidła i pudry przekształcają skórę twarzy w pergamin, a gastronomiczne łakocie niszczą żołądek; mniemałem też, że ujrzę zepsuty mózg dziecięcia, które zaczęto w kolebce uczyć sylabizować, a także zanikły mózg paniczyka z grzywką na czole itd. itd. Nawet wentylatorów nie widziałem, zresztą widziałem filtr dla powietrza: jest to rama o dwu siatkach, pomiędzy któremi leży warstwa waty; rama wstawia się w okno pokoju lub otwór kamery kaloryfera; powietrze przesiąkając przez watę, zostawia na niej pyłki.

— No — pytam — a owe źdźbła organiczne, które powietrze oddzieli od waty i naniesie do płuc — czy są zdrowe?..

Wynalazca filtru mruknął niechętnie.

Słowem cała wystawa jest trochę leczniczą, trochę przemysłową, lecz nie hygieniczną.

N. B.

Z ZACHODU.

Monachium, 3 lutego.

Jak u zegarmistrza. — Franciszek v. Holtzendorff. — Dzieła. — Działalność praktyczna. — Profesura. — Styl romantyczno - federacyjny. — Laurence Oliphant. — Pomysł *Grenzboten*. — Imiona i nazwiska polskie w Poznańskiem. — Czytelnie bez książek.

Ostatnie dni wyleczyły wszystkich chorych na *spleen*. Ruch taki się zrobił na świecie, że nuda uciekła, jak niepyszna, a człek piszący roi, że cały stół się kręci, a wszyscy dokoła tańczą, jak najęci. Gdy się ma swą literacką rezydencyę — wybacz to wyrażenie, boć przecie i jadłodajnię Duranda nazywają już dziś rezydencyą przyszłego zbawiciela Francyi — między Paryżem a Wiedniem niedaleko Luksemburga, obleczonego kirem i Luksomburga, na który szczerzą zęby Prusy, wtedy czuje się dokoła taki rozgwar, jak, nie przymierzając, u zegarmistrza. Rozmaite tik-taki, grube i cienkie, dźwięczne jak srebro i tępe a suche jak drewno, walą setką młotów w bębenki uszne. Jakże tu w tym chaosie przedpiekla rozpoznać cichy zazwyczaj i skromny głos literatury?

Niepodobna — chyba że przemówi ona dzwonem pogrzebowym nad jedną ze swych chlub, lub zaśpiewa poważne *requiem* nad mogiłą znakomitego uczonego, jakim był np. Holtzendorff. Wtedy najbardziej zacietrzewieni polityczy odwrócić muszą na chwilę oczy od teatru międzynarodowych intryg i sercem przyjąć udział w ogólnej żałobie. Słynny pracownik niemiecki zasłużył na nią, więcej niż kto inny. Gdyby Wiktor Hugo nie był uczynił nic więcej prócz wrzawy oburzenia na odwieczny grzech cywilizacyjny, który się zowie karą śmierci, już by tem samem zapewnił sobie u potomnych wieniec wawrzynowy— rozumie się nie u francuzów, bo ci mają za krótką pamięć.

Franciszek Holtzendorff był właśnie jednym z najżarliwszych oskarżycieli tej samowoli prawa nad jednostką. Ponure *malum necessarium*, zawarte w systemie kar za zbrodnie brał on pod surową ocenę i o ile mógł, żądał jego złagodzenia. Tchnął humanitarność w zacofane i zaskorupiałe praktyki sądów całym szeregiem dzieł i broszur, które nie były krzykliwą deklamacyą utopisty, lecz poważną, na niezgłębionej erudycyi opartą obroną ludzi skazanych na utratę czci i swobody. Oto niektóre nagłówki: *Deportacya jako środek karny*, *Kara zesłania w starożytności rzymskiej*, *Zbrodnia zabójstwa i kara śmierci*, *Encyklopedya nauk prawnych*, w czterech tomach, *Zasady polityki*, *Podręcznik prawa międzynarodowego*; do spółki z Virchowem, wydawał *Bibliotekę popularną rozpraw nauko-*

wych, a z dziejopisem Onckenem — czasopismo *Die deutschen Zeit- und Streitfragen.* To zaledwie połowa.

Pruskie urządzenia więzienne osobliwie małem cieszyły się ze strony słynnego kryminalisty uznaniem. Napadł też na nie energicznie w początkach siódmego dziesięciolecia, a zwłaszcza na zakon tak zwanych „Surowych braci,“ którzy w zakładach poprawczych ważną odgrywali rolę. Musiała ona być *echt*-teutońską, skoro aż sejm państwowy wziął do serca zarzuty Holtzendorffa i zażądał usunięcia zacnych pomocników Temidy.

Inne kierunki jego działalności noszą przeważnie to samo piętno uczuć ludzkich; trzeba bowiem wiedzieć, że nie poprzestawał na uprawie kryminalistyki. Dużo ma mu do zawdzięczenia oświata ludowa w Niemczech, świat prawniczy, któremu nadał trwałą organizacyę i nauka prawa państwowego (*Bluntschli Stiftung*). W Londynie przewodniczył „kongresowi więziennemu“ a w Monachium—„Instytutowi prawa międzynarodowego.“ Swojego czasu w pełnej wymowy i zapału broszurze ujmował się za bohaterem słynnego procesu, hr. Arnimem. W praktycznej dziedzinie te występy Holtzendorffa również nie odsłaniają całości jego czynnej, uniwersalnej a niestrudzonej natury.

Rządom zagranicznym był on znany dobrze. Ilekroć układano gdzieś projekt kodeksu karnego, nie obeszło się bez zasięgnięcia jego rad i wskazówek. Cztery, pięć lat temu na prośbę ruskiego ministeryum sprawiedliwości wydał też opinię o przygotowywanej obecnie nowej ustawie karnej.

Istotnie, lata jego życia, od r. 1873—urodził się w 1829— przypadają na stolicę Bawaryi, której władcom, różnym Ludwikom i Maksymilianom, przyznać trzeba, że chcą i umieją skupiać pod swą protekcyą dzielne siły umysłowe. Przeniósł się tutaj zmarły z Berlina i jak tam zajmował katedry praw karnego i międzynarodowego. Słuchaczów miał tu moc (bo wszechnica monachowska liczy dziś z górą półszosta tysiąca studentów); kochali go i cenili, płacąc pięknem za nadobne, tj. za przywiązanie do młodzieży i pyszny, zawsze barwny, w rzeczach najbardziej nawet suchych, zajmujący i ponętny wykład. Było to „żywo słowo,“ a nie żywe gadulstwo, najczęściej miano owo sobie przywłaszczające...

Ostatnia ta cnota nieboszczyka już miała mi posłużyć za przejście do żyjących, gdy w tem świeży grób, tym razem pod mglistem niebem Londynu, uwziął się, ażeby z listu mojego zrobić formalną nekrologię. Pochowano genialną i ciekawą osobistość, Wawrzeńca Oliphanta. Jaka to szkoda, że nie był on kobietą! Położyłbym oboje (naturalnie *in abstracto*) tj. jego i Holtzendorffa na jednych marach, zrobionych z arcyksiążęcego łoża, kwiatami bym posypał i byłoby pyszne widowisko dwojga kochanków, już nie dla Wiednia, ale dla całej Europy... W tym pięknym stylu romantyczno-*federacyjnym* wyglądaliby cudownie...

Laurence Oliphant to przedewszystkiem włóczęga, dalej powieściopisarz-satyryk, potem ulubieniec salonów angielskich a w końcu mistyk filozof. Pisał i podróżował, mędrkował i bawił wytwornie towarzystwa. Zwiedził Chiny i Stany Zjednoczone, jako uczestnik misyi dyplomatycznej swego rządu. Wędrując na Wschód, do Ziemi świętej, zakłada sobie eleganckie gniazdo na opromienionych oltarzową aureolą górach, ażeby móc sobie powiedzieć, jak *Ojciec zadżumionych*: Wracam na Liban, do mojego domu..., ocienionego gajem dzikich pomarańcz... Jednocześnie opisuje szeroko i długo grób Zbawiciela i układa rozprawy filozoficzne o Bogu i religii. Raz po raz znika, ażeby się wynurzyć znowu, to w Rosyi, to nad brzegami jeziora Erie, to z mieczem w dłoni, w szeregach Garibaldiego, lub w wojnie holsztyńskiej, to z rękopisem skrzącej się talentem i dowcipem powieści p. t. *Altiora peto.* Nie odpoczywa ani na chwilę, zasila pierwszorzędne dzienniki swej ojczyzny, aż wreszcie rzuca się w objęcia teozoficznej sekty Harrisa, amerykanina. W tej ostatniej swej barwie kameleon trwa do samej śmierci i pragnie zbawić ludzkość gorącem apostolstwem swej nowej wiary w dziełach naukowych, nowelach i artykułach.

Tak żyć — to rozumiem. Koniec wprawdzie głupi, ale cała komedya życia jakże zabawna i ile zazdrości wzbudza we mnie i w niejednym może z moich czytelników! Tożto mieszanina Byrona, Mathew Arnolda, Dickensa, wszystkich zdolnych i oryginalnych duchów brytańskiej ziemi...

A teraz od trupów — do tego, co trupem pachnie.

Nim jednak, zwyczajem swym, przeniosę wzrok na sprawy poznańskie, zatrzymam swą uwagę chwilowo na tem, co znajduje się po drodze, na Berlin. Z murów jego na papierowych skrzydłach *Grenzboten* wyleciał gołąb pokoju, pełen dziwnych umizgów i dziwniejszego nabożeństwa do... Francyi.

Czem Wagner w muzyce, tem organ gadzinowy, poświęcony kresom niemieckim— chce być w polityce: zwiastunem i prorokiem nowej szkoły, której za podwalinę służy jednak wcale nienowa, lecz rzadko ujawniana obawa. Artykuł „Stanowisko Niemiec do Słowiańszczyzny“ demaskuje bezwiednie może tę febryczną drżączkę wilka, który nosił już razy kilka a teraz o własną swą skórę się trwoży,

„Nie jest rzeczą nieuniknioną, żeby narodowa niemiecko-słowiańska wojna, którą prowadzimy, nie miała coraz silniejszego wywierać wpływu na nasz stosunek państwowy. Spojrzyjmy na tę niezmierną widownię szalejącej walki narodowościowej w Czechach, Galicyi, na Morawach, w Serbii, Chorwacyi, Rumunii i jeszcze dalej, na ten w południowo-zachodnim łuku ciągnący się teatr wojny, z całą prawie skupioną tam siłą Rosyi, ...a przyznamy, że sprawa jest poważną.“

Z tego *tremor cordis* „natchnione“ pismo wydobyć usiłuje swych ziomków zapomocą — sojuszu z Francyą... Przypomina ono „rodzinne interesy starej Europy,“ czyli że zapaśnicy z pod Sedanu i Gravelotte są ni mniej ni więcej, jeno krewniakami. Prawdziwa to i budująca *Wahlverwandtschaft!* Pyszny szermel i ciekawa zagadka, którą zresztą rozwiązać bardzo łatwo, a do której klucz bardzo prosto określa *Gazeta poznańska.*

„Sprzymierzeńcy, tj. Austrya i Włochy, niepewni, Rosya nie daje sobie w kaszę dmuchać i stąd nie dziw, że niekiedy organa kanclerza niemieckiego wydają okrzyk rozpaczy i na niezwykłe, prawie niemożliwe wpadają kombinacye.“

Zanim nad Wartą uderzy wielki grom, zapowiedziany przez Jowisza — przekształcenie administracyi na modłę pruską—parę doniosłejszych faktów na gmienie oka rozpogodziło zasępione czoła.

Pierwszeństwo tedy dla cudu. Inaczej nazwać niepodobna okólnika wydanego przez pruskiego ministra spraw wewnętrznych w sprawie pisowni nazwisk polskich. Dobre duchy Księstwa, a tych przecie nie braknie, chciały koniecznie zwrócić na się najdostojniejszą uwagę ciągłemi zapytaniami, czy imiona ich rodaków mogą być w aktach stanu cywilnego zapisywane tak, jak brzmią. No i czy uwierzysz, dano z góry odpowiedź twierdzącą. Więcej nawet, bo obowiązującą! Innemi słowy polecono „nazwiska rodzinne zapisywać do ksiąg niezmienioną pisownią polską, nie zastępując głosek polskich literami niemieckiemi, i postanowienia tego ściśle przestrzegać... Urzędy stanu mają przed wniesieniem do akt uprzednio we wszelki im najodpowiedniejszy. sposób się zapewnić co do właściwej pisowni, mianowicie także imion polskich, ażeby później uniknąć zawikłań (*Weiterungen*) powstających z fałszywego zapisywania.“

Cud ten tłomaczy się poprostu tem, że w wielkim *Vaterlandzie*, jak zresztą i wszędzie, nogi chcą być zawsze gorliwszemi od rąk i głów. Urzędnicy drobnego kalibru lubią przewyższać władze wyższe germanizatorskim ferworem, jeżeli go wogóle przewyższyć można.

Na zasadzie tak wyraźnego przepisu, ogromna liczba poznańczyków o nazwiskach, przypominających brzmieniem niemieckie, zostaje naraz uwolnioną od przymusowego zaszczytu uchodzenia za rodowitych potomków Teuta. Smutne to, co prawda, ale przecież już Schiller wymownie uczył rezygnacyi...

Szkoda tylko, że poznańczycy zbyt często nucą sobie psalm pociechy i machają ręką z tradycyjnem „co mi tam!“, nawet wówczas, kiedy każdy inny przynajmniej spuściłby nos na kwintę. Zdaje mi się, że gdybym zrobił jakiś wielki wynalazek, którego doniosłość i pożyteczność zjednałyby sobie poklask ogólny i nagle zbrakłoby mamony dla należytego rozpowszechnienia—wszystkie moce ziemskie i niebieskie przeklinałbym, włosy (*licentia poetica*) z głowy wyrywał i ręce łamał z rozpaczy. Wielkopolanie biorą jednak rzeczy o wiele chłodniej. Mają oni (bo i ślepej kurze trafia się ziarno) przewyborną i zbawienną w walce z germanizmem instytucyę czytelni ludowych, z głównem ogniskiem w Poznaniu. Lud, ten nieczy uzurpator rozumu szlacheckiego, formalnie chłonie książki i dziś osobliwie rozłakomia się na nie coraz bardziej, ale cóż, kiedy z sum otrzymanych od komisyi kolonizacyjnej nie ocalało już ani grosza na poparcie tej oświaty? Czytelnie prowincyonalne muszą się chwilowo wstrzymać z wszystkiemi żądaniami książek. Dwie głowy zarządu, ks. Zdzisław Czartoryski i dr. Łebiński zapewniają w ostatniej odezwie, że „robią co jest w ich siłach.“ Wypada przecie wierzyć im...

Dziwna jednakże, jak u nas pieniądz i miłość książki nie znoszą wzajem swego towarzystwa! Gdy tylko zjawi się *ona*, wnet *on* ucieka, gdzie zaś jest on, ona nawet zajrzeć nie chce. Nie jest to wszakże przekomarzanie się dwojga kochanków, lecz... żelazne prawo dziejów pewnego narodu.

Cezary Jellenta.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Samobójstwo a bezpłodność. Patryotów francuskich zatrważa bardzo bezustanne zmniejszanie się liczby urodzeń. W roku 1884 było ich 937,758, w r. 1885—924,558, w r. 1886 — 912,838 i wreszcie w 1887— 899,333. Dla wyjaśnienia tego faktu wyszukują najrozmaitsze powody natury ekonomicznej, kulturnej i antropologicznej. Cokolwiekbądź jednak, nie ulega wątpliwości, że z powyższym objawem idzie w parze mnóstwo innych, bezwarunkowo patologicznych. Naturalnie, to tylko może powiększyć niepokój, wywolany przez zmniejszanie się liczby urodzeń. W jednym z ostatnich numerów paryskiego *Revue philos.*, Emil Durkheim wykazuje ścisły związek, istniejący we Francyi pomiędzy bezpłodnością a wzrostem samobójstw. Dotychczas znano samobójstwo z nadmiaru ludności. Legoyt wykazał, iż w krajach z gęstem zaludnieniem dobrowolne pozbawianie się życia jest faktem stosunkowo częstym i że liczba samobójców zmniejsza się, ilekroć, dzięki spotęgowanemu wychodźtwu, zwiększy się prawdopodobieństwo zarobku. Sta-

tystyk francuski w swoim kraju zauważa zjawisko wprost przeciwne. Ażeby uniknąć możliwych błędów, zamiast liczby urodzeń rozpatruje stopę wzrostu samej ludności w oddzielnych departamentach i porównywa ją z rozmiarami każdorazowymi samobójstwa. Nie będziemy przytaczali liczb szczegółowych; streścimy natomiast ostateczny rezultat. Otóż, w 26 departamentach z największą ilością czynów samobójczych (12—40 na 100,000 mieszkańców rocznie), znajdujemy aż dwadzieścia takich, gdzie przyrost ludności stoi niżej przeciętnego dla całej Francyi; tymczasem $^3/_4$ liczby departamentów z przyrostem powyżej przeciętnego przedstawia częstość samobójstw niżej 12 rocznie na 100,000 mieszkańców. Podobnież zawody, przedstawiające najmniejszą stopę przyrostu, należą do najbardziej obfitujących w samobójstwa. Autor wnioskuje na podstawie tego rodzaju faktów, iż ponieważ mniejsza stopa przyrostu ludności a zwiększona samobójstw dotrzymują sobie ściśle kroku, ponieważ w dalszym ciągu samobójca przedstawia poniekąd okaz psychicznie chory, przeto wypada i pierwszemu zjawisku przypisać znaczenie patologiczne. Innemi słowy, społeczeństwo, przyrastające normalnie i prawidłowo, nietylko samo jest siluiejszem, lecz i składające je jednostki zdrowszemi fizycznie i duchowo. Co więcej, departamenty, przedstawiające zwiększenie samobójstwa a zmniejszenie przyrostu ludności, dostarczają zarazem największego względnie zastępu obłąkanych. Nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia ze skutkami głęboko organicznej natury. Lecz Durkheim nie poprzestaje na tym wyniku. Wychodząc z założenia, że wady organiczne są częstokroć tylko zmienianemi i przeniesionemi na organizm przyczynami społecznemi, poszukuje źródeł złego w ukształtowaniu społecznem. Znajduje on mianowicie, iż wszystkie wskazane wyjawy pochodzą z osłabienia uczuć i urządzeń domowo-rodzinnych. Zgadzamy się najzupełniej na ten pogląd, jakkolwiek inaczej go wypowiedzielibyśmy, mianowicie zarówno zmniejszony przyrost narodzeń jak i zwiększenie samobójstwa i waryactwa pospołu są następstwami osłabienia staroczesnych form solidarności społecznej, która rozkłada się bez wytworzenia na razie odpowiednich równoważników.

Ekonomia społeczna na wystawie paryskiej. Wystawy powszechne zaczynają coraz bardziej zyskiwać, obok charakteru czysto przemysłowego, jeszcze inny — międzynarodowych porozumień naukowych. Właśnie tegoroczna paryska obiecuje rozszerzyć ten dział więcej, niż jakakolwiek z dotychczasowych. Między innemi nowościami ma być urządzoną po raz pierwszy wystawa ekonomii społecznej. Na ten cel przeznaczono blizko jeden hektar powierzchni; znajdą tu pomieszczenie modele gospody wstrzemięźliwości, restauracyi ludowej, przytuliska nocnego, domów dla robotników itd. Lecz najważniejszą pod względem naukowym będzie statystyka graficzna stosunków produkcyjnych i ekonomicznych. Przedstawione w ten sposób mają być najrozmaitsze rzeczy; jeżeli zatrzymamy się np. na tkactwie, będziemy mieli uzmysłowioną rysunkowo długość wyprzędzanych tkanin w kilometrach z roku na rok w miarę rozwoju przedsiębiorstwa, wzrost personelu robotniczego, jego zmienność i długość pozostawania w zakładzie, itd. Obok każdego rysunku znajdować się będzie dłuższy wykład piśmienny jego znaczenia. Wszystkie graficzne przedstawienia winny być wykonane według jednolitego planu, wskazanego w broszurze, wydanej przez dyrekcyę główną wystawy (*Note sur l'installation de la section XIX*). Znajdujemy tu wzory, odmienne dla każdej oddzielnej gałęzi produkcyi. Zbyteczna rozwodzić się, jak dalece dział ekonomiczny może być interesującym pod wielu względami, jeżeli tylko zostanie urządzony należycie. Nie ulega wątpliwości, że, odnośnie do przedstawienia wzrostu wytwórczości pracy, odpowie wszelkim wymaganiom.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

16 lutego.

Nowe prace o klasykach niemieckich: Brahma życiorys Schillera; Vogla prace o stosunku Goethego do wiary i kościoła.— Nowe wydanie dzieł Goethego.— Nowa powieść Dahna na tle mitologii germańskiej.— „Aleksandra" nowy dramat Ryszarda Vossa. — Epigramy Ernesta Ziela.

Żaden naród poetów swych nie otoczył większym kultem, aniżeli niemcy. Nietylko historycy literatury, ale i najszersze koła publiczności z tem samem niemal zajęciem przetrawiają dziś wszystkie szczegóły biografij klasyków, z jakiem przed kilku dziesiątkami lat przyjęto pierwsze systematyczne o życiu ich wiadomości. Ze zbadaniem i przedstawianiem życia i działalności literackiej Schillera załatwiono się jednak znacznie rychlej, aniżeli z opracowaniem materyałów, odnoszących się do Goethego. Schiller żył znacznie krócej i zmarł o 27 lat przed wielkim swym towarzyszem. Korespondencye jego i resztę materyałów biograficznych zebrano bez wielkich zachodów; w ostatniem dziesięcioleciu nie odkryto prawie żadnego nowego szczegółu, podczas gdy do poznania Goethego jako człowieka i pisarza, wielce przyczyniają się dokumenty, zamknięte do niedawna w archiwum domu wielkiego poety. Biograf Schillera o tyle więc ma dziś zadanie ułatwione, że może korzystać z poprzednich opracowań, sprawdzając tylko rezultaty ich i grupując je systematycznie. Z zadania tego wywiązał się sumiennie Otto Brahm *), korzystając z nowego opracowania dzieła Palleske'go, z gruntownej, lecz zbyt obszernej pracy Weltricha, oraz z popularnej książki Heppa. Praca Brahma — jak on sam w przedmowie wyznaje — powstała wskutek pobudki wpływu wywieranego przez zgasłego profesora Wilhelma Scherera, autora *Poetyki*. Scherer, który przez długi czas poświęcał studya swe Goethemu, zwrócił się był potem z równym zapałem ku Schillerowi, pociągając za sobą, zachęcał ich, aby zastosowali metodę badania literacko-historycznego, wprowadzoną przez niego, do biografii Schillera, to też zmarłemu nauczycielowi poświęca Brahm swą książkę. Wzbogacił on życiorys poety kilkoma szczegółami małej wagi; znalazł je w zbiorach biblioteki monachijskiej oraz w archiwum domu Gleichen-Russwurm. Praca jego, odznaczająca się wybornem ugrupowaniem materyału, jest przeznaczona nietylko dla kół fachowych, ale i dla szerokiej publiczności, nigdzie nie występuje w niej sucha uczoność, polemika zupełnie z ram jej usunięta, cytaty zredukowane. Przytem zaleca się ona żywym udziałem, z jakim autor towarzyszy poecie na drodze rozwoju jego i jaki zbudzić umie w czytelniku.

Najważniejszą pracą, dokonywaną obecnie przez historyków literatury, zajmujących się Goethem, jest nowe wydanie dzieł jego, wychodzące w Wejmarze z polecenia księżnej Zofii Saksońskiej. Zajmuje się nią Loeper, Eryk Schmidt, Waldemar Biedermann, Herman Grimm, Bernhard Suphan i kilku innych. Pisma Goethego rozłożono na cztery działy; pierwszy obejmuje właściwe prace literackie i obliczony jest na pięćdziesiąt tomów; drugi — rozprawy pisma treści naukowej w dziesięciu tomach; trzeci — dzienniki; czwarty listy. Wydawnictwo postępuje w ten sposób, że ogłasza się równocześnie tomy do różnych należące działów.

Nie każdy jednak rozporządza czasem dostatecznym do zoryentowania się w tym ogromie pism, gdzie poeta niemiecki zawarł poglądy swe na przyrodę i ludzi. Dla tych, którzy ciekawi są zapatrywań Goethego na zagadnienia religijne, zajmującą będzie praca Teodora Vogla *). Wiadomo, że zarówno koła wierzące jak i niewierzące powołują się na Goethego. Utarła się wprawdzie dlań nazwa „wielkiego poganina," jednak niejeden ustęp świadczy, iż poeta podzielał wyobrażenia wiary chrześciańskiej. Wyobrażenia te, nabyte w młodości, ustąpiły pod wpływem autorów starożytnych, Spinozy i wskutek popędu do myślenia samoistnego. To też w liście do Augusty Stolberg pisze: „das liebe Ding, das sie Gott nennen." a w r. 1782 w liście do Lawatera mieni siebie: „nie antichrześcianinem, ale zdecydowanym niechrześcianinem." Vogel zestawił 898 miejsc z pism Goethego w porządku chronologicznym: traktuje on o nabożności, o kulcie, o bóstwie jako przyrodzie, o cudach, objawieniu, Piśmie świętem, Chrystusie, o kościele niewidomym i widomym. Przeglądając te ustępy, dojdzie czytelnik do wniosku, wyrażonego przez autora w przedmowie, że Goethe w ciągu długiego życia swego nie zdecydował się ostatecznie w sprawach wiary. Nigdy też nie zwracał się do czytających wprost z zamiarem pouczania w kwestyach, w których sam pewności osiągnąć nie umiał. Może okoliczność ta wyda się mniej dziwną, jeżeli sobie uprzytomnimy, że Goethe minął punkt szczytowy umysłowego swego rozwoju, zanim nauki przyrodnicze i filozofia na nich oparta wystąpiły z owemi doniosłemi zdobyczami, które warunkują myślenie naszego stulecia.

Ale czas opuścić bohaterów, a zwrócić się ku epigonom. Powieściopisarze niemieccy zarzucają rynek literacki pracami, z których każda ma swoją specyalność, za pomocą której wychodzi ze współzawodnictwa zwycięzko. Przytem każdy z producentów, hołdując zasadzie, że należy się przypominać, ogłasza utwory tak często, iż niepodobieństwem się staje, by miały wartość trwałą. Specyalnością Feliksa Dahna są powieści na tle starogermańskiem. Najświeższa, zatytułowana „Frigga's Ja" **) rozwiązuje na tle mitologii germańskiej zagadnienie, nadające się właściwie na treść dramatyczną dla Dumasa. Czy możliwa jest między kobietą a mężczyzną przyjaźń bez przymieszki miłości? Dahn opowiada, że skoro w stosunku takim powstaje miłość prawdziwa (Voll-Liebe), wówczas para zaprzyjaźniona dąży do połączenia chociażby za cenę śmierci. Frigga kochająca Odhina i wzajem przezeń kochana, nie chce zostać małżonką jego, gdyż Norny przepowiedziały, że ślub jej spowoduje wprawdzie szczęście całego świata, ale i upadek jego niechybny, a zarazem zgon jej i Odhina. Atoli doprowadzenie świata do doskonałości, uzyskanej przez połączenie z Friggą, jest obowiązkiem Odhina. Poślubia ją więc, skazując się wraz z nią na śmierć. Na główne zagadnienie zaś daje Dahn odpowiedź, że wówczas tylko istnieć może przyjaźń bez miłości, jeżeli obie strony serca swe innym istotom poświęciły. Fantastyczny ten utwór, który w zbyt krótkim po „Attyli" napisany został czasie, ażeby mógł być do zupełnej doprowadzony jasności, nęci czytelników szatą archaistycznego języka, oraz jędrniejszemi myślami, splecionemi tu i owdzie. Pięknem istotnie jest słowo: „Ogień z harfy lub harfę do ognia!"

Inną zupełnie jest specyalność Pawła Lindaua. Brak mu wielkiej poetyckiej wyobraźni oraz nauki; jest on zresztą umysłem nawskroś nowożytnym. Naukę zastępuje

*) *Schiller*, tom I, Berlin, Hertz.

*) *Goethes Selbstzeugnisse über seine Stellung zur Religion*. Lipsk, Teubner.

**) Lipsk, Breitkopf i Haertl.

w nim bystra obserwacya świata współczesnego; fantazyę — rozum kombinujący i zręcznie przedstawiający elementa rzeczywistości, tak iż autor-fotograf nie naraża się na procesy, do jakich niemcy tak są skorzy. Lindau wszystkiego niemal nauczył się od francuzów, ale i nauczycieli umiał wybierać, a wskazówki kombinować. Wielki cykl jego powieściowy, „Berlin,“ w ugrupowaniu całości naśladuje „Rougon-Macquartów“ Zoli; atoli trafnie zauważył jeden z krytyków, że w technice i kompozycyi powieści poszczególnych naśladuje on nie powieściopisarzy, ale dramaturgów francuskich, i to autorów fars. Zamiast wysnuwać akcyę z charakterów swych figur, splata zręcznie szeregi zdarzeń zajmujących i efektownych i rozmieszcza w ramach ich swe postacie nakształt figur szachowych. I jeszcze jeden pierwiastek zawdzięcza Lindau francuzom: oto złamanie wiary małżeńskiej jako motyw główny wszystkich swych utworów.

Z nowości dramatycznych najbardziej na siebie zwrócił uwagę dramat Ryszarda Vossa „Aleksandra,“ wystawiony w berlińskim Lessingtheatrze. Nowy utwór płodnego tego autora kręci się około sprawy wielokrotnie już opracowywanej przez powieściopisarzy i dramaturgów: jak społeczeństwo zachowywać się powinno wobec zbrodniarzy ukaranych, skoro opuścili więzienie? Czy zbrodniarz taki może sobie jeszcze zdobyć szacunek? Dramaturgowie przedstawiali zazwyczaj postępowanie społeczeństwa jako bezlitośne i sympatyą swą otaczali zbrodniarza. Tak uczynił Giacometti w „Morte civile,“ Wilbrand w „Córce pana Fabrycyusza,“ Wiktor Hugo w „Nędzarzach,“ wreszcie Maks Kretzer w najnowszym swym dramacie „Der bürgerliche Tod.“ I Voss na skronie zbrodniarki, po pokucie prawem wygnanej, kładzie wieniec męczeństwa, ale nie przekonywa nas, iżby społeczeństwo istotnie tak ją skrzywdzić mogło; wynik dramatu, a raczej tragedyi Vossa wydaje się nieprawdopodobnym.

Aleksandra, córka kuglarza czeskiego, skazaną została na siedem lat więzienia za dzieciobójstwo. Odsiedziawszy karę, w obrońcy swym sądowym znajduje przyjaciela, skorego nawet do poślubienia jej; atoli fatum sprowadza do hotelu, w którym mieszka Aleksandra, uwodziciela jej, który kocha ją jeszcze i dla którego i ona czuje namiętność. Odrzucając propozycyę obrońcy swego, idzie Aleksandra wraz z uwodzicielem swym w góry, gdzie w samotnym zamku mieszka sędziwa jego matka. Poszła ona z nim, ale nie po to, ażeby spocząć w objęciach jego, ale ażeby zemścić się na nim za śmierć dziecka, za własną hańbę i cierpienia. Atoli niebawem poznaje Aleksandra, że plany zemsty ustępują w sercu jej pragnieniu miłości, pokoju i szczęścia. Już, pokonana prośbami syna i matki, zgodziła się na zaręczyny z dawnym kochankiem, któremu zataiła była losy swe poprzednie. Ale zakochany w niej leśniczy, którego od siebie odpycha, w zazdrości swej zdradza zbrodnię popełnioną przez Aleksandrę i karę, jaką poniosła. Ta, która miała zostać matką jej, zrywa z nią; dzieciobójczyni syn jej poślubić nie może. Wówczas zwraca się Aleksandra do kochanka swego, Erwina; opowiada mu losy swe jako historyę innej, zapytując go, czy mógłby poślubić taką kobietę. Erwin stanowczo temu przeczy, twierdząc, że dzieciobójczyni owa najlepiejby uczyniła, gdyby z światem się pożegnała. Okrutne te słowa dla Aleksandry stają się wyrokiem: odepchnięta przez uwodziciela swego, w którego ręku leżała możność zrehabilitowania jej, zatruwa się nieszczęsna ofiara niesprawiedliwości ludzkiej. Przeciw takiemu zwrotowi oburza się uczucie widza; Aleksandra ginie bowiem, chociaż pokutę odbyła, Erwin zaś, zawiniwszy podwójnie, wychodzi bezkarnie.

Na zakończenie przeglądu dzisiejszego pragnęlibyśmy wspomnieć o zajmującym zbiorku epigramów, wydanym świeżo przez byłego redaktora znanego pisma *Gartenlaube*, Ernesta Ziela *). Ziel smaga biczem satyry swej wszystko niemal, co człowiekowi rozumnemu a uczciwemu spaczonem się wydaje w społeczeństwie dzisiejszem.

Ładawa.

*) „Moderne Xenien,“ Berlin, H. Haessel.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bale urzędników na kolei Nadwiślańskiej. — Objaśnienie sytuacyi. — Halpert umarł i Halpert żyje. — Intryga z funduszem na słownik języka polskiego. — Potrzeba obejrzenia prawdy. — Uczczenie jubileuszu apteki Karpińskiego. — Nabożeństwo dziennikarskie przed ołtarzem Strzeleckich. — W piętę mierzył w nos uderzył — czyli strzał *Kuryera codziennego*. — Źródło oburzenia. — Kasa żeńska.

Wprawdzie ratunek był bardzo energiczny, ale też i rezultat świetny. Już, już karnawał togoroczny o mało nie umarł; ale jak *Kuryery* zaczęły mu urządzać sztuczne oddychanie, nadymać płuca, drażnić nerwy, tak ożył, powoli rozruszał się, a teraz — proszę go zobaczyć. „Karnecik“ jest dziś dla niego najmędrszą księgą, pomysłowa figura mazurowa — najdonioślejszym czynem a order kotylionowy — najzaszczytniejszem odznaczeniem. „Kiedy bieda na ulicy — to hoc w kamienicy“— radzi przysłowie a my go słuchamy z równą uległością w roku bieżącym, jak w poprzednich. Chyba najwymowniejszym dowodem tej uległości i najlepszem świadectwem dla obecnego karnawału są bale składkowe urzędników kilku stacyj kolei Nadwiślańskiej. Boć przecie wszyscy byliśmy tego przekonania, że system oszczędności okroił tym biedakom nawet chleb codzienny a wszelkie uczty wygnał z krainy ich marzeń. Tymczasem *Kuryery* donoszą, że i tę wzdychającą rzeszę karnawał wciągnął w swój wir. Prawdopodobnie pobudką do nagłej uciechy była wiadomość o ustąpieniu p. Halperta z prezesowstwa drogi Nadwiślańskiej, którego dymisyę postanowiono oblać, objeść i obtańczyć. Kocia muzyka, jaką mu wyprawiono w prasie, nasuwa takie przypuszczenie. Jeżeli ono nie jest mylnem, to z wielką boleścią muszę na biesiadę wprowadzić ducha Banka. Według bowiem objaśnień, których mi udzieliła osoba, z przedmiotem dobrze obeznana, należałoby krzyczeć: Halpert est mort — vive Halpert! Mój znajomy dowodził tak: Cała prasa warszawska była i jest źle powiadomioną w sprawie, o której od tylu miesięcy mówi. Naprzód—popełnia przesadę, powtóre pomieszała ludzi i rzeczy, potrzecie—uległa złudzeniu. Co do punktu pierwszego—to jakkolwiek zaprowadzony system „oszczędności“ był w wielu wypadkach śmiesznym i krzywdzącym, w niektórych — potrzebnym i sprawiedliwym. Kolej Nadwiślańska zbierała swą służbę z najrozmaitszych, często całkiem nieudolnych i tylko siłą protekcyi wpychanych żywiołów, gospodarkę jej prowadzono według zasady: „Grecya płaci;“ podczas gdy jednych upośledzano, drugim wyznaczano płace dodatkowe (dyety) za dni wesela; należało bezład uporządkować, nadużycia ukrócić. Zrobiłby to również najbardziej ojcowski zarząd, gdyby chciał być rozumnym, energicznym i o dobro akcyonaryuszów dbałym. Tylko p. Halpert zamiast nożyczek wziął nożyce o długich ostrzach i krajał niemi wszystkich i wszystko, co w nie wpadło. Znaczną część jego zasług w tym kierunku przeniesiono na p. Hantowera, który jako inżenier główny działać mógł jedynie w granicach swego urzędu. Ponieważ droga Nadwiślańska należy do utrzymywanych najkosztowniej (płace jej robotników stałych i czasowych wynoszą dziś nawet na wiorstę 224 rs. 50 kop., podczas gdy np. Bydgoskiej 217 rs. 39 k.) przeto p. Hantower chciał ją sprowadzić w wydatkach do poziomu niższego. I rzeczywiście „zestąpił“—jak mówią krawcy — budżet w zakresie swej władzy. Tu wszakże „oszczędności“ nie zniżyły skali wydatków pod miarę na innych drogach stosowaną. I tak średnia płaca dróżników i robotników wynosi: na kolei Charkowsko-Mikołajewskiej 120 rs. rocznie, Poleskiej—132, Bydgoskiej, Terespolskiej i Dąbrowieckiej 144, Nadwiślańskiej 150. Nie tu więc zawiście nożyce strzygły. Głównym mistrzem oszczędności był p. Halpert, który ułożył taki budżet, jak gdyby drogę obsługiwały ptaki niebieskie i lilie polne. No ale wreszcie ten skurczywórek przestał być prezesem — urzędnicy i dziennikarze pożegnali go gwizdaniami i oddali się radości. Tymczasem jest to złudzenie, bo p. Halpert pozostał w zarządzie i będzie oddziaływał z tą tylko różnicą, że nie bezpośrednio, ale po za cudzemi plecami, zakryty obłokiem Olimpu kolejowego.

Tyle mój informator.

Jeżeli — jak sądzę— wiadomości jego są dokładne, tedy odwołajcie swe bale panowie nadwiślacy, bo radość wasza jest przedwczesną. P. Halpert umarł jako prezes, ale żyje jako członek zarządu, on z was ręki swojej nie zdjął, tylko jej już widzieć nie będziecie. Zacznie on teraz leżeć na waszych piersiach jako nocna i nieuchwytna zmora. Przykro, bardzo mi przykro ogłosić wam tę nowinę podczas karnawału i przed ucztami, ale wolę was ostrzedz, ażebyście nie zasnęli w złudzeniach i nie obudzili się z nich nagle rozczarowani.

Przed kilku tygodniami na bruku warszawskim urodziła się dość zuchwała i zagadkowa blaga, której ojcem był jeden z zagranicznych korespondentów pism warszawskich. Przyniósł on wiadomość, wkrótce ogłoszoną w dziennikach, że pewien obywatel poznański złożył w tutejszym oddziale Banku państwa 16,000 rs. na wydanie słownika języka polskiego, wyrażając przytem nadzieję, że inni zamożni ofiarodawcy sumę tę dopełnią do wysokości pożądanej. Ów słownik bowiem miał być dziełem olbrzymiem, wielotomowem. Udezyło to naszych językoznawców, że do nich nie odwołano się wcale ani o radę, ani o pomoc, i że ów „obywatel poznański“ uparcie zakrywał się tajemnicą. Wreszcie ciekawi zapytali Bank, czy taka suma rzeczywiście została złożoną. Ku wielkiemu zdumieniu usłyszeli, że jej niema i nie było, że cała opowieść jest zmyśleniem. I w jakim celu? Odpowiedź na to pytanie dać musi twórca bajki, skoro jest wiadomym. On z nią przyjechał, on ją rozszerzał, on upewniał, że ofiarodawcę zna, że 16,000 rs. w Banku się znajduje, on więc niech nas teraz objaśni, co to wszystko znaczy. Ci, którzy byli słuchaczami owej legendy, winni dotrzeć do prawdy, chociażby ona była szpetną. Jest to ich obowiązkiem zarówno względem siebie, jak i względem samej sprawy. Opinia publiczna ma prawo domagać się szczerego objaśnienia, kto i dlaczego wprowadził ją w błąd. Pierwsze doniesienie wyszło z *Kuryera waszawskiego*, to więc pismo niech naprzód uchyli zasłonę swego źródła. Jeżeli tem źródłem był wspomniany literat galicyjski, niech on nam wytłomaczy, co się stało z „obywatelem poznańskim“ i jego 16,000 rs? Jakim sposobem one tak przepłynęły przez kasę Banku, że nikt ich nie widział i nie pozostawiły po sobie żadnego śladu? Mam nietylko przeczucie, ale nawet podstawę do mniemania, że tu w łupinie kłamstwa mieści się bardzo ciekawa prawda, którą by wydobyć należało.

K. Karpiński, nie robiąc wrzawy i nie okłamując nikogo, na pamiątkę setnej rocznicy założenia swej apteki wydał w przekładzie p. M. Flauma duże i kosztowne dzieło H. Hagera *Wykład chemii farmaceutycznej*. Stronic przeszło 800, drzeworytów 231, szata zewnętrzna książki wytworna. O jej treści niech mówią ci, którzy się na tem znają, ja tylko zaznaczam piękny pomysł uczczenia jubileuszu. Nakład takiej książki pochłonął przeszło tysiąc rubli. Bożo, jakąż by za te pieniądze można wyprawić kolacyę! A należało ją wyprawić z toastami, z mówkami na uczcie, z artykułami w prasie — wtedy dopiero p. Karpiński postąpiłby zgodnie z tradycyą.

W kilku naszych pismach konserwatywnych odbyła się uroczysta koronacya moralna pp. Strzeleckich, uniewinnionych w procesie kukizowskim. Okrzyki, uściski i całusy, wszystkie wzruszające sceny, które po odczytaniu wyroku odbyły się w sądzie lwowskim, były widokiem bladym wobec tego, co się dzieje u nas w rozrzewnionych i oburzonych dziennikach. Nasi zachowawcy padli do nóg „zacnej matronie,“ podnieśli w górę „szlachetnego młodzieńca,“ wrzeszcząc przytem i wymyślając tym, którzy najlżejszy cień podejrzenia rzucili na dostojną parę. Ej, szanowni panowie, czy w swem „niech żyją“ dla „niewinnych ofiar“ i w swem „niech zginą“ dla „niegodziwych potwarców“ nie przejechaliście granicy własnego stanowiska i nie rozpostarliście chorągwi rycerskiej nad ludźmi, którzy na nią nie zasługują? Przypuszczam z wami, że p. Strzelecka jest niewinną, ale czy wy istotnie sądzicie, że ona dając rozmaite i sprzeczne odpowiedzi na toż samo pytanie i zabierając „do depozytu“ *tylko* bezimienne papiery wartościowe umierającego księdza, a zostawiając imienne, działała—jakby to powiedzieć delikatniej—poprawnie? Czy jej spóźnione przyznanie się do posiadania cudzych pieniędzy było—mówiąc grzecznie — przywoitem? A ten p. Strzelecki, który dla dowiedzenia swego *alibi* i objaśnienia plam krwawych, opowiada swoją schadzkę z Baśką czy Kaśką sądowi przy drzwiach zamkniętych? Czy to są rzeczywiście wasze ideały obywatelskie? Powiedzcie szczerze, bez obłudy i wykrętów, albo: że tak jest, albo, że — nie. Jeżeli nie, w takim razie logika i etyka wskazują: powiększające szkła z rąk opinii wytrącić, a o samej bakteryi zamilczeć. To byłaby godność publicystyczna. Natomiast oprawianie pp. Strzeleckich w ramy wzorów cnoty jest co najmniej śmiesznem. Ktoś z kolumn *Kuryera codziennego* fuknął ku nam. Korespondent *Prawdy*, pomijając istotę sprawy, która pozostała zagadkową, nakreślił jej tło; wróżby wyroku uniewinniającego, uroczyste przyjęcie więźniów, wyraźną stronność prezesa, urok świadka, brata podsądnej, padający na przysięgłych od jego dostojeństwa, gadaniny księży itd. Szczegóły te były raczej charakterystyką stosunków społecznych w Galicyi, niż wykazywaniem winy oskarżonych. Bo chociażby oni byli tak czyści moralnie, jak nowonarodzone dziecko, niemniej oddawane im honory wobec prawa w kraju równości są wstrętne i smutne. P. S. nie dotknąwszy tej kwestyi, lichem szydełkiem kole naszego korespondenta za płamienie kryształowego honoru Strzeleckich. Odsuńmy ów kryształ na bok, bo on nam do porozumienia się wcale niepotrzebny, i przypuśćmy, że ja pozwałem p. S. do sądu o połknięcie mojego wnuka, którego nogi ktoś widział jeszcze wystające z jego ust. Skarga byłaby bezzasadną, gdyż: 1) p. S. ludzi nie jada, 2) żaden człowiek dziecka połknąć nie może i po 3) ja wnuka wcale nie posiadam. Pomimo to, gdyby pana S., dlatego, że jest szlachcicem, a jego brat wysokim urzędnikiem, nadzorca więzienia przyjął w galowym mundurze i pozostawił jego znajomym swobodny dostęp, gdyby prezydujący otaczał go miłością i gromił świadków nieprzychylnych, gdyby księża domagali się bezkarności nawet w wypadku połknięcia mojego wnuka — każdy, szanujący zasadę równouprawnienia wszystkich przed sądem, miałby zupełną racyę powiedzieć: przywilejo zapewnione panu S. w procesie były nadużyciem sprawiedliwości. Otóż nadużycia takie na każdym kroku popełniano w sądzie lwowskim dla Strzeleckich. Jeżeli obciążono ich podejrzeniem niesłusznie, uniewinniający wyrok można było osiągnąć bez tych wszystkich paskudztw i wtedy wyrok byłby opinię publiczną przekonał. Jeżeli on zaś zbudził wątpliwości i nie zdołał osłabić zarzutów, jest to następstwem nie potwarzy, ale niewiary w galicyjską równość wobec prawa i odrazy do tych gorszących przywilejów, które z procedury wypłynęły na wierzch.

Winienem jeszcze wręczyć czytelnikom jeden maleńki kluczyk do zagadki „oburzenia“ na mniemanych oszczerców. *Kuryer warszawski* najwcześniej i najspieszniej pomieszczał sprawozdania z tego procesu. Potrzebnie, czy niepotrzebnie go wydął — mniejsza o to, dość że był rozrywanym przez publiczność naszą, lubiącą namiętnie przedstawienia kryminalne. Inne pisma, zdystansowane przez niego, zamiast bić swoje konie podczas wyścigu, zaczęły smagać tego, który pierwszy dobiegł do mety. Ażeby zaś *jalousie de metier* nie wylazło z kłótni, podcięto z boku „warcholów.“ Oto z jakiego powodu pp. Strzeleccy dostali na głowy aureolę, a my — garść błota.

Szanowna korespondentko, która pytasz mnie o losy projektowanej i opracowywanej „Kasy żeńskiej,“ widzisz, że brak mi już miejsca na długie objaśnienie, więc odpisuję krótko: ponieważ kasą tą zajęło się *grono* ludzi dobrej woli i ponieważ to grono jest nasze z krwi i kości, więc prawdopodobnie: albo się cofnie, albo rozstrzeli, albo zniechęci, albo poikłóci, dość, że do celu nie dojdzie. Jeżeli stopnieje tak, że z owej rzeszy pozostanie jedna energiczna istota — wówczas miej pani nadzieję.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Departament medyczny opracowuje nowe obostrzone przepisy, dotyczące zapobiegania fałszowania produktów spożywczych; zbiera ze wszystkich miast, w których się znajdują urzędy lekarskie gubernialne i miejskie, wiadomości o urządzeniach sanitarnych, praktykowanych dotychczas w powyższym kierunku. Z zestawienia tych wiadomości powstanie jedna normalna ustawa, obowiązująca w całem państwie.

Poczta. Główny zarząd poczt i telegrafów postanowił zmniejszyć ubezpieczenia od przesyłek większych sum pieniężnych.

— Projekt połączenia urzędów pocztowych z telegraficznymi ostatecznie załatwiony będzie do lipca r. b.

— W warszawskim urzędzie pocztowym — jak donosi *Kur. warsz.* —ma wkrótce powstać kasa oszczędności. Najmniejszy wkład od osoby 50 kop. Projekt oparty jest na referacie, opracowanym w ministerium skarbu.

Warszawski komitet wystawy paryskiej uprasza hodowców, prowadzących owczarnie, o dostarczenie pod adresem Komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa wiadomości o ogólnej liczbie sztuk owiec znajdujących się w owczarniach przez nich prowadzonych wraz z roczną ilością z nich otrzymanej wełny sukienniczej i czesankowej.

Wystawa tkacka odbędzie się na wiosnę w Petersburgu. Będą dwa główne oddziały: moskiewski i łódzki.

Elewatory. Zarząd główny kolei rządowych uzyskał kredyt w sumie 1,600,000 rs. na urządzenie elewatorów i składów zbożowych na drogach rządowych.

Bank włościański. Czynności lubelskiego oddziału Banku włościańskiego — jak donosi pismo miejscowe — w tych dniach będą rozpoczęte.

Konfiskata. Nr. 43 *Kuryera warszawskiego* został skonfiskowany we Lwowie i Krakowie.

Dr. Wł. Orłowski. Zdolny chirurg i zacny człowiek, kilkakrotny prezes Towarzystwa lekarskiego i autor wielu rozpraw specyalnych, zmarł w Warszawie. Koledzy, którzy go szczerą przyjaźnią i szacunkiem otaczali za życia, licznie odprowadzili do grobu, nad którym rozrzewniająco w ich imieniu pożegnał nieboszczyka dr. Fr. Jawdyński.

Rižskij Wiest. donosi, iż władze urzędowe przedsięblorą obecnie energiczne kroki celem bezzwłocznego wprowadzenia języka ruskiego, jako wykładowego, w szkołach prowincyj nadbałtyckich.

Ustawa towarzystw gospodarczych wzajemnego ubezpieczenia od ognia wkrótce będzie ogłoszona przez ministeryum dóbr państwa na mocy porozumienia się z ministeryum spraw wewnętrznych.

Bank ziemski w Poznaniu. W nr. 4 *Prawdy* korespondent nasz z Monachium przedwcześnie zgromił sekretaryat galicyjski dla organizacyi Banku ziemskiego w Poznaniu. Dowiadujemy się bowiem z pewnego źródła, iż dzięki niezmordowanym zabiegom, szczególnie w ostatnich czasach, tegoż sekretaryatu, zbierającego podpisy na akcye Banku ratunkowego w Poznaniu, instytucya ta z dniem 1 lutego złożyła wymaganą przez prawo liczbę podpisów (nawet z pewną przewyżką) u właściwej władzy rządowej, skutkiem czego Bank uznano za utworzony.

Kolej Nadwiślańska. Z powodu licznych skarg wniesionych do zarządu kolei Nadwiślańskiej na reformy wprowadzone przez b. członka rady zarządzającej, Halperta, ma być wydelegowana specyalna komisya, w której skład, oprócz delegatów kolei wejdą przedstawiciele inspekcyi rządowej i technicy ministeryum komunikacyi. Zadaniem tej komisyi będzie szczegółowe zbadanie na miejscu, o ile wprowadzone reformy, tak w służbie ruchu, jak i stacyjnej, ujemnie oddziaływają na prawidłową eksploatacyę kolei oraz bezpieczeństwo podróżnych. Szczególnie ma być zbadaną sprawa przeciążenia pracą maszynistów i konduktorów.

Kasa przezorności. Do tworzącej się kasy przezorności dla urzędników warszawskich fabryk cukru ustanowiono składki. 6% dopłacać ma zarząd Towarzystwa.

Zapis. P. Ewelina S., właścicielka ziemska, w porozumieniu się ze spadkobiercami, część swego majątku, około 20,000 rs., przeznacza na przytułek sierot pozostałych po obywatelach i oficyalistach pracujących na roli.

Opłata od biletów na widowiska, (o czem pobieżnie wzmiankowaliśmy w poprzednim numerze) przeznaczona na cele filantropijne, wkrótce ulegnie nowym przepisom. Dopłata obowiązywać będzie na wszystkich widowiskach, z wyjątkiem urządzanych przez stowarzyszenia filantropijne własnymi środkami, w Warszawie i całem Królestwie. Dochód z tego źródła przelewanym będzie do funduszów: w Warszawie — rady miejskiej dobroczynności publicznej, na prowincyi— rad gubernialnych. Dopłatom podlegać będą wszystkie bilety, poczynając od zwyczajnej ich wartości kop. 50. Za bilety do miejsc zbiorowych opłata po kop. 10 pobierana będzie w stosunku do liczby osób wpuszczonych za jednym biletem.

Szkoły. Na wniosek ministeryum komunikacyi, przy szkołach technicznych kolejowych mają być otwarte dwa oddziały, w których uczniowie kształcić się będą na techników i dozorców drogowych. Nowość ta ma na celu zapewnić zdolnych pracowników o wykształceniu średniem, służbie konserwacyi dróg, która dziś rekrutowaną jest ze zwykłych robotników, nieposiadających najczęściej przygotowania specyalnego.

Dla zdrowia. P. oberpolicmajster warszawski polecił komisarzom cyrkułowym zwrócić uwagę właścicieli składów towarów kolonialnych, aby herbata i artykuły spożywcze nie były obwijane w papier ołowiany; natomiast można zastosować papier cynowy.

— Celem sprawdzenia, czy w tutejszych garbarniach, warsztatach białoskórniczych i składach skór, zachowywane są przepisy wydane przez departament medyczny, wyznaczono komisyę pod przewodnictwem weterynarza miejskiego p. Kowczegowa.

W Radomiu grono obywateli wypracowuje projekt ustawy kasy emerytalnej dla rzemieślników i przemysłowców.

Bibliografia. E. de Laveleye *Własność pierwotna* (wydawnictwo imienia d-ra J. Baranowskiego). Warszawa, str. 310.

— W... *Czego pan Wincenty jeździł do Zielonogrodu i z czem powrócił.* Kijów, str. 69.

Na kolejach belgijskich nastąpił trzeci wypadek d. 12 b. m. Na linii Valenciennes-Bouzy w pobliżu Maubenge wieczorem spotkał się pociąg paryski z brukselskim, z powodu gęstej mgły, utrudniającej rozpoznanie sygnałów. Obaj maszyniści ciężko ranieni, jeden podróżny zabity, czterech strasznie pokaleczonych.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Февраля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**